

Biuletyn Z.W. PTTK w Łodzi

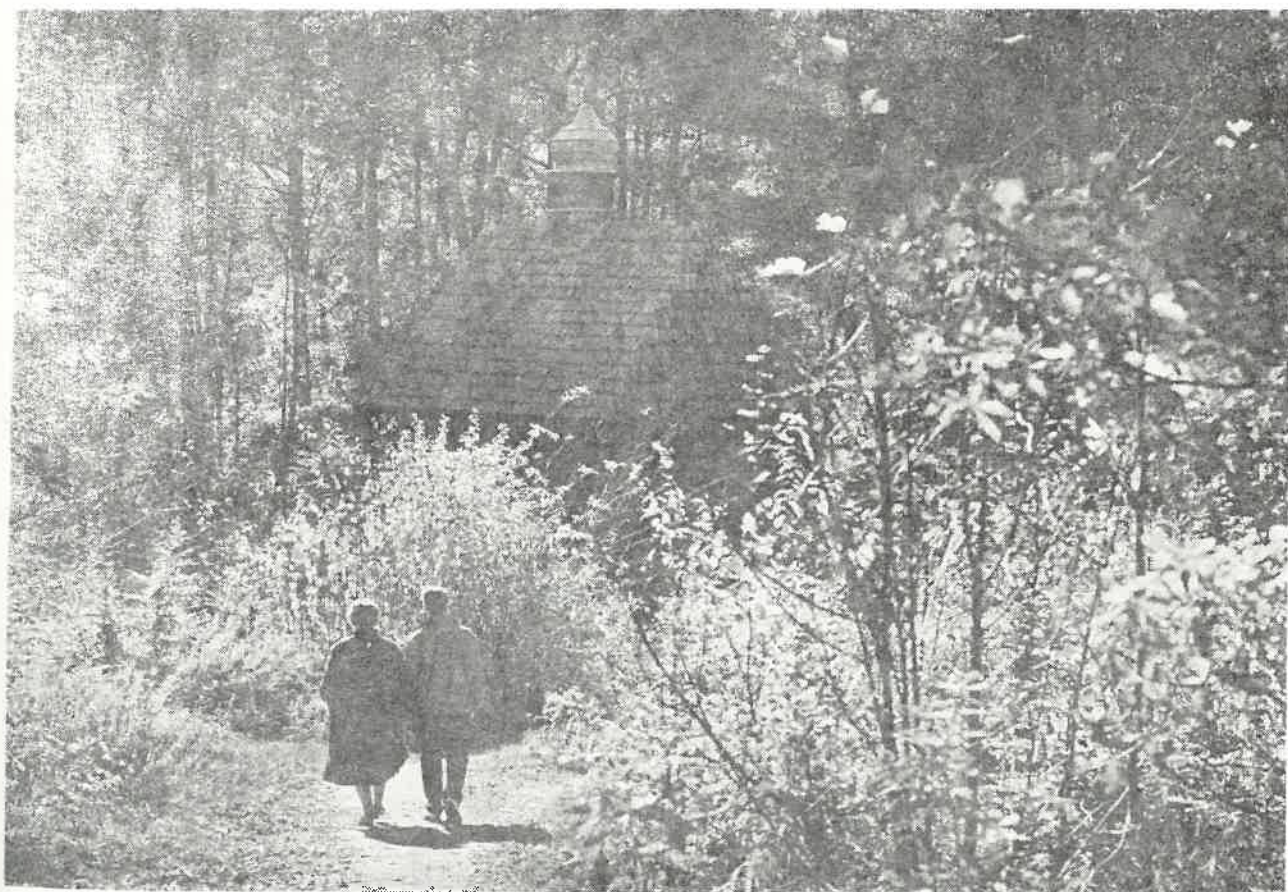
W KRAJACH  
RODZIMYCH



Rok XXXIV

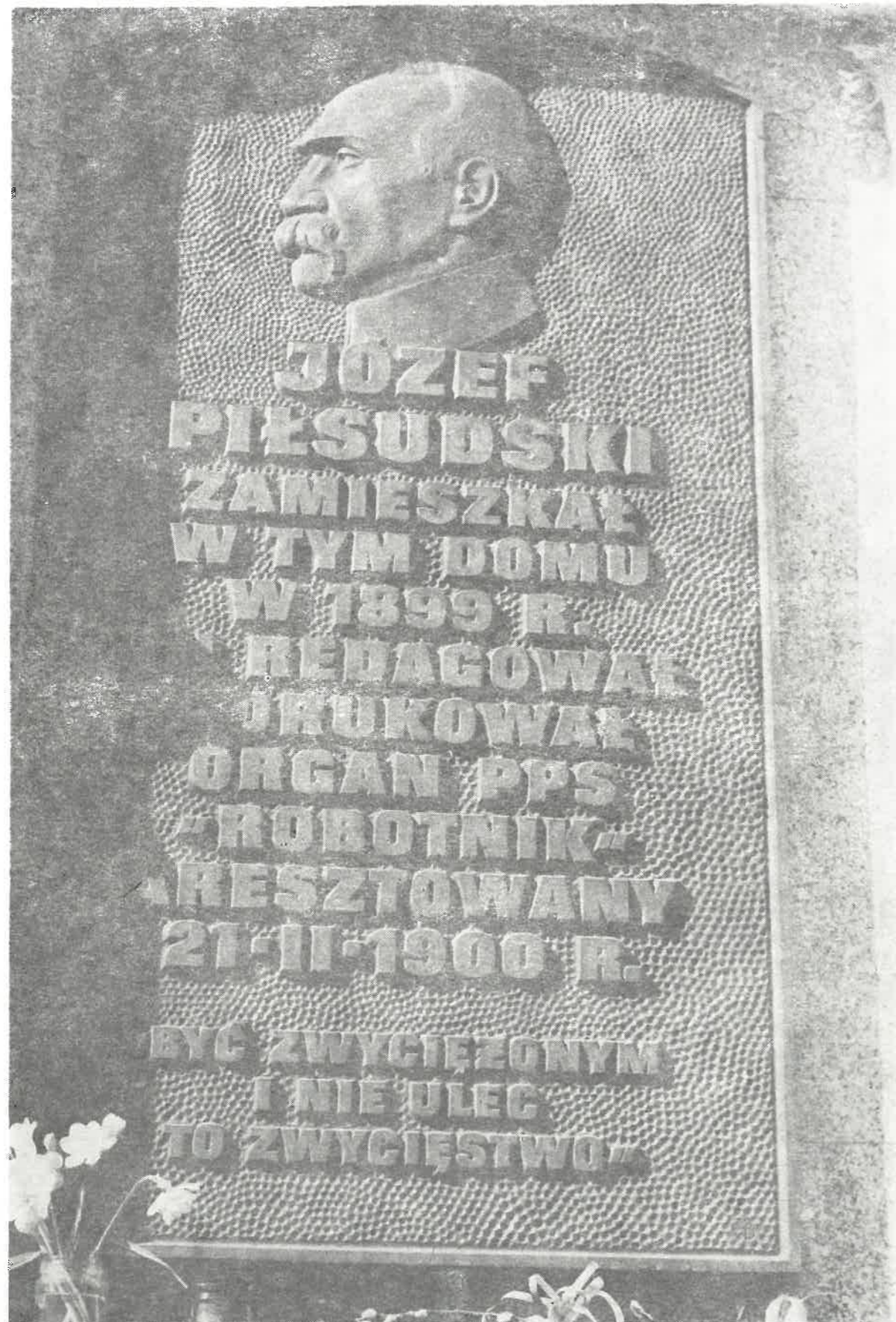
Wrzesień—grudzień 1989

V—VI (323—324) 89



KAPLICZKI LAGIEWNICKIE JESIENIA

fol. B. Bazyliński



TABLICA PAMIĄTKOWA PRZY UL. WSCHODNIEJ

fot. B. Bazyliński

Jan Siciński . . . . .	3
Zofia Radwańska-Paryska — w mieście Łodzi	3
Kinga Wiśniewska-Roszkowska — Konstanty Wiśniewski — rektor gimnazjum męskiego im. B. Prusa w Łodzi w latach 1918—1935 .	6
Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkownkiej cz. 12	13
Adam Ochocki — Od zajazdu do Soroy'u .	20
Kazimierz Hempel — Co przeżyli mieszkańcy Łodzi w gorących dniach Kampanii Wrześniowej 1939 roku . . . . .	25
Jerzy Zieliński — W cieniu tumskiej kolegiaty	29
Redakcja — Pałac ZW PTTK w Łodzi zaprasza	33
Towarzystwo Przyjaciół Łodzi — 30-lecie Towarzystwa Przyjaciół Łodzi . . . . .	35
Jan Gałązka — Historia i współczesność stacji Łódź-Widzew . . . . .	37
Mirostaw Jaskulski — Bohaterski kaplan — Ksiądz Ignacy Skorupka . . . . .	40
Zbigniew Lipowski — Muza z Babska . . . . .	44
Jan Siciński — Brat naszego Boga w Sieradzkim, Piotrkowskim i Tatrach . . . . .	48
Cezary Jabłoński — Łódzkie ementarze wielkiej bitwy (XI—XII 1914 r.) . . . . .	53
Przemysław Pilich — Ksiądz Walenty Ślusarczyk . . . . .	57
Jacek Siudek — Tratwy . . . . .	59
Informacje Redakcji . . . . .	61

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.



Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi.



Adres Redakcji: ul. Wigury 12a 90-301 Łódź, tel. 36-43-70



Redaguje Komitet w składzie: Bogdan Bazyliński, Adam Chyżewski, Anna Dąbrowska (Sekretarz Redakcji), Zbigniew Lipowski, Maciej Mamiński, Leonard Matuszewski, Anna Pilarska (Redaktor Naczelny) i Stefan Zwierzynski (Redaktor Techniczny)



Numer zamknięto w grudniu 1989 r.

Przepraszamy Autorów i Czytelników IV numeru naszego „Wędrownika” z roku 1989 za liczne błędy korektorskie.

Szczególnie przepraszamy panią Grażynę Kobojek za niewłaściwe zdjęcie Samuela Hirszenberga na stronie 26.

Robienie korekty jest bardzo trudne, zwłaszcza jeżeli robi się ją sporadycznie. Numer IV był pierwszym numerem wydanym po śmierci Jacka Ciesielskiego, który korektą naszego czasopisma zajmował się od kilkunastu lat.

Postaramy się, aby w następnych numerach błędy zdarzały się tylko sporadycznie.

Redakcja

Z przykrością zawiadamiamy, że w związku z olbrzymim wzrostem kosztów papieru i usług poligraficznych postanowiliśmy w 1990 roku wydać 2 numery „Wędrownika” — po jednym numerze bogatszym treściowo i objętościowo w każdym półroczu.

Koszt jednego numeru 4000 zł.

Wierzmy, że w następnych latach będziemy mogli wrócić do dwumiesięcznego cyklu wydawania „Wędrownika”.

Redakcja

Z wielką przyjemnością informujemy miłych Czytelników, że nasz redakcyjny kolega BOHDAN BAZYLIŃSKI, którego zdjęcia często zamieszczamy na łamach „Wędrownika”, w 1989 roku otrzymał cenne nagrody i wyróżnienie za swoje prace:

- w XVIII Międzynarodowym Biennale Fotografii Przyrodniczej — Srebrny Medal — w dziale III za zestaw przeźroczy udźwiewkowionych p.t. „Kwiaty i owady”;
- w Ogólnopolskim Konkursie Fotograficznym „Piękno Polski” — II miejsce;
- w Biennale Zabytków w Zamościu — wyróżnienie Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych.

W ubiegłych latach Bohdan Bazyliński był wielokrotnym laureatem ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów fotograficznych za swoje doskonałe zestawy przeźroczy i zdjęcia.

Serdecznie gratulujemy Bohdanowi i życzymy Mu wielu następnych najwyższych nagród i medali.

Redakcja

III Tydzień Gór „Tatrzański” \* odbył się w dniach 22—28 kwietnia 1985 roku. Zwyczajowo przez pierwsze trzy dni odbyła się w Łodzi sesja popularno-naukowa a w drugiej części odbył się wyjazd studialny w Tatry. Jeden z punktów programu przewidywał dnia 27 IV 1985 r. spotkanie z dr Zofią Radwańską-Paryską, dr Haliną Piękoś-Mirek i dr Zbigniewem Mirkiem w Tatrzańskiej Stacji Naukowej Zakładu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie, powołanej w 1951 r. z inicjatywy prof. dr Władysława Szafera, a mieszczącej się w willi „Śmigło” na Antałówce w Zakopanem.

Po interesujących wystąpieniach gospodarczy miała miejsce dyskusja, rozmowa, a raczej wymiana poglądów. Gazdowie spotkania oraz wystrój stacji stworzyły wyjątkowy — ciepły i niepowtarzalny nastrój.

Podczas rozmów w podgrupach, a dziś lepiej byłoby określić w podstolikach, Pani dr Z. Radwańska-Paryska nieoczekiwanie zaczęła wspominać lata spędzone w Łodzi, co było dla nas Łodzian sympatyczną informacją. Zaproponowałem wtedy napisanie wspomnień z tego okresu do „Wędrownika”. Uznałem, że będzie to interesujący materiał dla licznej rzeszy miłośników Tatr i Łodzi. Pani Doktor z właściwą sobie skromnością zadała pytanie — „czy ono będzie dla kogokolwiek interesujące”, które jeszcze raz powtórzyła w liście do mnie z dnia 10 XI 1989 r. Przekonywałem, używając wielu argumentów. Obiecując, dodała, że nie bę-

dzie to możliwe w najbliższym okresie, bowiem zajęta jest przygotowaniem do druku II wydania „Encyklopedii Tatrzańskiej” i artykułów naukowych.

Po powrocie z Zakopanego, podczas pobytu w redakcji „Wędrownika”, powiedziałem o tym fakcie ówczesnemu sekretarzowi mgr Jackowi Ciesielskiemu, który entuzjastycznie przyjął wiadomość — „to byłoby wspaniałe!”

15-go listopada 1989 r. nadchodzi na mój adres przesyłka od Autorki „Zielonego świata Tatr”, atlasu „Rośliny tatrzańskie”, wielu artykułów naukowych z botaniki i ochrony przyrody oraz współautorki „Pasterstwa Tatr Polskich i Podtatrza” oraz „Encyklopedii Tatrzańskiej”. Pani Doktor to nie tylko wybitny botanik, ale także znakomity taternik i alpinista, wybitny przewodnik tatrzański i wspaniały Człowiek.

W imieniu licznych grona łódzkich miłośników Tatr i miasta Łodzi serdecznie dziękuję za dotrzymanie obietnicy.

JAN T. SICIŃSKI

\* Jarosław Fischbach, III Tydzień Gór w Łodzi, Biuletyn Z.W. PTTK w Łodzi, Rok XXX, Nr III, 297, 85, s. 14—18, 1985.

Jarosław Fischbach, 1987, III Tydzień Gór „Tatrzański”, Acta Universitatis Lodzensis, Turyzm, Nr 3, s. 163—167.

## W mieście Łodzi

### Fragment z życia małej dziewczynki

Kiedy przenieśliśmy się z Pabianic do miasta \* Łodzi, był rok 1912, wiosna. Wprawdzie już znacznie wcześniej, gdzieś w latach 1902—1904 zamieszkiwaliśmy dość krótko Łódź i tam urodzili się moi dwaj młodsi bracia, ale tego zupełnie nie pamiętam, byłam za mała, miałam rok lub dwa.

Teraz pierwsze nasze łódzkie mieszkanie mieściło się przy ul. Piotrkowskiej 292, na III piętrze, w domu Starowiczów. Był to wtedy sam koniec Piotrkowskiej, poza domem wid-

niały już tylko jakieś wertepy, pagórkowaty zaśmiecony teren, porośnięty rzadko trawą i chwastami. W niezbyt dużej odległości, przy ulicy przechodzącej już w gościniec, stał niewielki krańcowy przystanek tramwaju elektrycznego Łódź—Pabianice.

W tym właśnie mieszkaniu przeżyłam dwa doniosłe momenty: pierwszy — w dniu 2 maja urodzenie się mego najmłodszego brata Gustawa, później żarliwego działacza harcerskiego, harcerza, psychologa, w czasie II wojny światowej lotnika, uczestnika słynnej Bitwy o Wielką Brytanię.

Drugim momentem było zaćmienie słońca 17 czerwca 1912. Chyba — o ile mi się zdaje — nie całkowite, ale jednak dość znaczne, bo dobrze pamiętam to intensywne ściemnienie pięknego słonecznego dnia. Siedzieliśmy całą trójką na balkonie: ja i dwaj młodsi bracia, okopając nad świecą liczne kawałki zawczasu nazbieranego potłuczonego szkła, aby bezpieczniej patrzeć na słońce. Oczywiście nie obeszło się bez zadraśnięć i skaleczeń, ale byliśmy za bardzo przejęci rzadkim kosmicznym zjawiskiem, aby zwracać uwagę na nieważne „rany”.

W 1913 roku miał się dla mnie rozpocząć nowy etap życiowy: szkoła. Dotychczas uczyłam się w domu. Wcześniej zaczęłam czytać, nie mając jeszcze skończonych trzech lat; nauczyłam się sama na pięknych kolorowych wydawnictwach malarskich, zalegających pracownię mego ojca, artysty malarza. Od tej pory pochłaniałam wszystkie dostępne mi książki, właściwe i niewłaściwe w moim wieku. Do dziś pamiętam wierszyk z książki Niemojewskiego Bóg Jezus:

*Baran idzie przed Bykiem,  
po Bliźniętach Raki;  
Lew przed Panną uchodzi —  
to są letnie znaki.  
Waga chodzi z Niedźwiadkiem.  
Strzelec zimnem grozi.  
Koziorożec łąd wiąże,  
Wodnik Ryby mrozi.*

Zdaje się, że z całej grubej książki tylko ten wierszyk był dla mnie mniej więcej zrozumiały, bo interesowałam się gwiazdami i gwiazdozbiorami.

Otóż rodzice moi postanowili, że powinienam zacząć naukę szkolną. Ojciec, który był nauczycielem rysunków w kilku łódzkich szkołach średnich, porozumiał się z kierownictwem siedmioklasowej szkoły żeńskiej Zofii Pętkowskiej, i tam zdawałam do II klasy gimnazjalnej. Tak się szczęśliwie dla nas złożyło, że na II piętrze tego dość dużego budynku szkolnego było wolne mieszkanie, które właścicielka domu, a zarazem przełożona szkoły (jak się wtedy mówiło) chętnie zgodziła się nam wynająć. Było to bardzo dogodne, zwłaszcza dla mnie, bo wystarczyło zejść dwie kondygnacje schodów i już byłam w swojej klasie. Ponadto ta część ulicy Wólczańskiej, przy której mieściła się szkoła, leżała tuż obok skrzyżowania z ulicą św. Andrzeja i było to właściwie w centrum Łodzi.

Bardzo szybko zapoznaliśmy się i oswoili z nową dla nas dzielnicą. Naprzeciwko szkoły, po drugiej stronie ulicy Wólczańskiej stała duża fabryka, która do późnego wieczora świe-

ciła swymi licznymi oknami. Jeden z moich braci zapytał kiedyś: „Mamusiu, czy oni tam nigdy nie kładą się spać?”

Z początku nie mogliśmy się przyzwyczaić do stałego, dość głośnego kołatania warsztatów fabrycznych — nie wiem nawet, jakie to były warsztaty — po jakimś czasie jednak przywykliśmy. Tylko w niedzielę i święta fabryka cichła i okna jej nie świeciły. Od czasu do czasu z fabryki tej wypływał do rynsztoku wzdłuż ulicy strumień brudnej, pieniącej się wody. Wtedy nie wolno było otwierać u nas okien, lato czy nie lato, taki płynął z ulicy wstrętny odór. Kanalizacji wówczas Łódź przecież nie miała, wszystkie ścieki spływały z domów i fabryk rynsztokami, które ciągnęły się po obu stronach każdej ulicy.

W rynsztokach tych na bocznych, mało ruchliwych ulicach taplały się dzieci, puszczały łódki z gazet, budowały tamy i zapory, brodziły bosymi nóżkami w tych ściekach. Dzieci te przeważnie mieszkaly w sąsiednich suterrenach i ku mojemu naiwnemu zdziwieniu nikt im nie bronił tych rynsztokowych zabaw. Wydawało się czasem, że moi bracia trochę im zazdrościli, ale mieli zabronione surowo korzystanie z tego rodzaju rozrywek.

Dość często chodziliśmy załatwiać różne drobne domowe sprawunki na pobliską ul. św. Andrzeja między Wólczańską i Piotrkowską. Było tam sporo interesujących nas sklepów i sklepików. A więc przede wszystkim sklep pana Gaganaszwili z najrozmaitszymi przysmakami. Oprócz takich, jak różne karmelki, landrynki, czekolada i czekoladki, figi i daktyle w podłużnych drewnianych pudełkach, były tam najbardziej kuszące słodczyce wschodnie: chałwa, rachat lukum, a także „panieńska skórka” (którą dziś, nie wiem dlaczego, nazywają „pańską skórka”). Toteż nieraz topiliśmy nasze kopiejkowe\*\* oszczędności u miłego i nadzwyczaj uprzejmego pana Gaganaszwilego.

Drugim magnetycznym punktem przy ulicy Andrzeja był mały sklepik, gdzie sprzedawano znaczki pocztowe (wtedy jeszcze mówiło się: marki), które nasza trójka namiętnie zbierała. Pamiętam różne „wspaniałe zdobycze”, jakies „ekwatory”, „urugwaje” i „hondurasy”. Co prawda, znaliśmy się na filateliście jak kura na pieprzu, i sprzedawcy nieraz udawało się wkręcić nam „skancerowaną” lekko markę.

Dla mnie najważniejszym magnesem był — już przy ul. Piotrkowskiej, ale blisko Andrzeja — sklep z zabawkami pani Zielke, potocznie zwany „u Cyłkowej”. Tam właśnie

była kupiona moja ukochana lalka „z prawdziwymi włosami”, a potem wielka ówczesna nowość: duży celuloidowy bobas—nagusek, którego można było kąpać w wodzie. Mam go do dzisiaj.

Na Piotrkowską wolno mi było chodzić samej, ale tylko pod nr 99, zaraz za rogiem Andrzeja. Tam, na czwartym piętrze (a może było to już piąte?) mieściła się pracownia malarska, a zarazem szkoła rysunku i malarstwa mego ojca. Wchodziło się od podwórza do lewej oficyny i po dość wąskich schodach na najwyższe piętro, a potem z podestu bardzo długim i ciemnym korytarzem, który na końcu się załamywał. Muszę wyznać, że trochę się bałam tego korytarzowego spaceru, bo były tam szczury, które podobno nawet kogoś pogryzły. Raz czy dwa widziałam przebiegające te stworzenia, ale jakoś mnie nie napadły.

Za załamaniem korytarza były wejścia do trzech dużych, bardzo widnych pracowni malarskich, z których mój ojciec zajmował początkowo jedną, a potem dwie. Lubiałam tam chodzić, bo zawsze było dużo ciekawych albumów, pism, książek i różnych wydawnictw do oglądania, piękne rzeźby, liczne fotografie i widokówki, no i oczywiście pejzaże i portrety malowane przez ojca.

Jeszcze kiedyśmy mieszkali na krańcu Piotrkowskiej dość często jeździło się tramwajami do centrum miasta. Było to dla nas, dzieci, nie lada rozrywką. Lubiliśmy te niebieskie wagony, oznaczone różnymi numerami. Pamiętam jedynekę na okrągłej białej tablicy, trójkę na żółtej w formie gwiazdy, biało-czerwoną (skosem) chyba siódemkę. Na przystankach konduktorzy głośno wykrzykiwali nazwy przyległych ulic. Do dziś brzmią mi te nazwy o szczególnym zaśpiewie: Nawrot—Rozwadowska, potem Przejazd—Andrzeja, najlepiej nam znane, tam się najczęściej wysiadało, Krótka—Benedykta i inne.

Najbardziej nas cieszyło, że mamy „własną” ulicę: Radwańską, odchodzącą od Piotrkowskiej. Jeden z moich braci zapytał: „Czy to na cześć tatusia ta ulica Radwańska?” Ale ojciec bardzo nas rozczarował, wyjaśniając, że ulica została tak nazwana od matematyka, prof. Radwańskiego, chyba nawet nie naszego krewnego. Trochę nas to zmartwiło, ale pocieszyliśmy się, że przynajmniej jest to samo nazwisko.

Zbieraliśmy też z zapalem bilety tramwajowe. Były one w różnych kolorach, zależnie od linii tramwaju, i mieliśmy wcale pokazny zbiór. Znacznie później go wyrzuciłam. czego, przyznam, teraz żałuję.

Przy ul. Przejazd, po prawej stronie licząc od Piotrkowskiej, był mój szkolny kościół, a po lewej, blisko rogu, kino, a jak się wtedy mówiło, iluzjon, o nazwie „Odeon”, wieczorem zawsze kolorowo oświetlonej. Ale jakoś nie pamiętam żadnego filmu.

Kiedy wiosna już się na dobre ustaliła, wyjeżdżaliśmy „na świeże powietrze” w różne okolice Łodzi, najczęściej do Helenówka. Przy okazji jednego z takich wyjazdów spotkaliśmy szkolną wycieczkę botaniczną, prowadzoną przez prof. S., kolegę mego ojca z kilku szkół łódzkich. Bardzo mnie ta wycieczka zaciękała. Podziwiałam, ile interesujących rzeczy opowiadał profesor, jak znał wszystkie rośliny i każdą z nich umiał nazwać. Do dziś pamiętam wiele z tych nazw: przytulia właściwa, ostróżka polna, połonicznik gładki, niedośpiałek maleńki... Myślę, że było to jedno z pierwszych ziarn kiełkujących we mnie zamiłowaniem do botaniki; prof. S. był nawet później w szkole moim pierwszym nauczycielem botaniki.

Od czasu do czasu chodziliśmy, zwykle z mamą, na stacje kolejowe, zazwyczaj na spotkanie przyjeżdżającego kogoś z rodziny lub przyjaciół rodziców. Bardzo lubiliśmy chodzić na Dworzec Kaliski, wydawał nam się okazały, czysty i taki jakiś spokojny, natomiast niezbyt chętnie szliśmy na tzw. Łódź Fabryczną. Uważaliśmy ten dworzec za brudny, zaśmiecony, tłumny i hałaśliwy.

I właśnie z Dworca Kaliskiego wyjechaliśmy do Rosji w sierpniu 1914 roku, gdy wybuchła I wojna światowa. Ale, jak to się mówi, to już zupełnie inna historia.

ZOFIA RADWAŃSKA-PARYSKA

\* W owych czasach o Łodzi zawsze się mówiło z tym dodatkiem: „w mieście Łodzi”, „z miasta Łodzi” itp.

\*\* Były to czasy zaboru rosyjskiego, pieniędzmi były ruble i kopiejki.

# Konstanty Wiśniewski

Dyrektor gimnazjum męskiego im. B. Prusa w Łodzi, w latach 1918—1935

## WSPOMNIENIA CÓRKI

Ojciec mój Konstanty Wiśniewski (ur. 31. I. 1882 r.) był synem chłopca, Hipolita Wiśniewskiego, który miał gospodarstwo we wsi Kraczynki (powiat Turek). Dziadka tego widziałam jako bardzo małą dziewczynkę — zapamiętałam jego długie wasy i surową minę. Jako rolnik należał on do chłopów „oświeconych”, był człowiekiem religijnym i patriotą. Prowadził pielgrzymki do Częstochowy zatrzymując się przy grobach powstańców 1863 r. i robiąc wykłady z historii. Należał do „rady parafialnej” i wadził się z proboszczem tak, że gdy kiedyś ciężko zachorował kazał sprowadzić księdza z innej parafii. Był człowiekiem twardych zasad i surowego usposobienia — nie pozwalał na tańce, zabawy, o co nawet córki miały do niego żal. To usposobienie w pewnej mierze odziedziczył po nim mój Ojciec, który również nie lubił zabaw i nigdy nie tańczył.



MIECZYSLAWA Z LIBISZOWSKICH  
WIŚNIEWSKA  
JAKO MŁODA NAUCZYCIELKA

repr. B. Kaczyńska

Będąc już w starszym wieku dziadek Hipolit sprzedał gospodarstwo i został konduktorem tramwajowym w Łodzi. Była to praca lżejsza (Łódź jako pierwsze miasto w Polsce miała elektryczne tramwaje). Dziadek ożeniony był z Marianną z domu Przytuła. Mieli 5 dzieci, z których dwoje — syn i córka — zmarło w dzieciństwie. Jedną z córek, Sabina, była nauczycielką wiejską przed II wojną światową, pracowała w Goszczanowie, gdzie wyszła za mąż za nauczyciela, Staszewskiego. W czasie wojny mieszkali w Warszawie, gdzie ciotka zginęła w powstaniu. Druga córka miała tragiczny życiorys, gdyż zarówno jej mąż jak i 5 dzieci zmarli na gruźlicę. Ona sama odporna na tę chorobę — dożyła starości. Ojciec mój zresztą również miał odporny organizm i gdyby nie palił — a palił namiętnie od wczesnej młodości — byłby pewnie w zdrowiu dożył 100 lat.

Dziadek Hipolit chciał wykształcić swego jedynego syna Konstantego. Czytania, pisanie i rachunków nauczył go sam, po czym posłał syna do szkoły w Pęczniewie, gdzie nauczycielem był kantor ewangelicki uczący dzieci kolonistów niemieckich. Chłopiec nauczył się tam niemieckiego, w klasie został prymusem i nawet nieraz zastępował nauczyciela w zajęciach z dziećmi. Już wtedy wykazywał powołanie na pedagoga. W 11 roku życia wstąpił do szkoły w Kaliszu — mieszkał wtedy „na stacji” u pewnego księdza, a po paru latach do gimnazjum w Łodzi (później gimnazjum im. Piłsudskiego przy ul. Sienkiewicza). Na święta chłopiec odwożony był końmi Dziadka do domu na wieś. Zdarzyło się, że kiedyś parobek zapomniał adresu w Łodzi, wtedy puścił konie wolno, a one same trafiły tam, gdzie chłopiec mieszkał na stacji.

Dziadek nie był zbyt bogaty a wykształcenie kosztowało, to też Ojciec jako uczeń szybko zaczął zarabiać korepetycjami. Już od czwartej klasy gimnazjum aż do matury był znanym w Łodzi korepetytorem. Jak nam potem opowiadał, zarabiał wtedy tak dobrze, że nie tylko utrzymał się sam, ale i kupował dużo książek naukowych zwłaszcza z dziedziny historii i literatury. W tajnej organizacji młodzieżowej prowadził kółko literatury polskiej i powszechnej.

W szkole Ojciec kolegował się ze Stanisławem Kielbasińskim, późniejszym (po II woj-

nie) profesorem chemii w Politechnice Łódzkiej oraz z Ludwikiem Hirschfeldem — późniejszym profesorem Akademii Medycznej we Wrocławiu. Już po II wojnie byłam w Sieradzu świadkiem spotkania i koleżeńskej rozmowy tych trzech starszych panów.

Na przełomie XIX i XX w. znaną w Łodzi postacią był dr Wieliczko, o którym Ojciec mówił z szacunkiem i uznaniem. Dr Wieliczko był przyjacielem i opiekunem polskiej młodzieży. Ojcu memu pomógł dostać się do gimnazjum. Urządzał u siebie skromne „herbatki” i długie dyskusje patriotyczne, na które schodzili się starsi chłopcy korzystając też z pism i książek polskich. To też wdzięczni wychowankowie — gdy już dorosli i „stanęli na nogi”, kupili dla doktora Wieliczko działkę pod Żakowicami i nawet zbudowali na niej dom, który stał jeszcze po II wojnie. Czy teraz stoi, nie wiem. Podobno miejsce to ludność nazywa „Dziadowszczyzną”.

Po ukończeniu gimnazjum Ojciec zgłosił się do seminarium duchownego we Włocławku — chciał zostać księdzem, by móc działać. Ale był dużym indywidualistą, więc zraziła go surowa dyscyplina i zależność od władzy duchowej. Po roku opuścił seminarium, choć chciano go zatrzymać i obiecywano studia psychologiczne za granicą. Pojechał do Petersburga. Chciał wstąpić na medycynę, ale zraziło go prosektorium. Ostatecznie wybrał matematykę, którą studiował w Uniwersytecie Warszawskim, ale strajk szkolny w 1905 r. przerwał te studia. Ojciec wyjechał wtedy do Paryża a potem do Belgii, gdzie w 1906 r. w Liege (Leodium) kontynuował studia matematyczne, zrobił tzw. kandydaturę inżyniera, a potem kandydaturę nauk matematyczno-fizycznych. Przyszycy do utrzymywania się z własnej pracy założył w Liege rodzaj szkoły — kursy przygotowujące młodych Polaków do egzaminu na wydział matematyczny i inżynierii Uniwersytetu w Liege. Na kursach tych zatrudniał jako wykładowcę m.in. również fizyka Stefana Pieńkowskiego, który potem w odrodzonej Polsce był profesorem — i nawet rektorem — Uniwersytetu Warszawskiego. Innym współpracownikiem był inż. Kunert późniejszy podpułkownik w Polsce.

W latach 1905—1907 wyższe uczelnie rosyjskie w Polsce były bojkotowane przez młodzież, która dla studiów masowo wyjeżdżała na zachód. W Belgii było wielu Polaków, a także studentów różnych krajów.

Uniwersytety belgijskie stały wówczas wysoko, miały sławę międzynarodową, a egzaminy z fizyki i matematyki zarówno wstępne, jak na wyższe kursy były b. trudne. Ojciec mój

dzięki swym zdolnościom i pracowitości szybko zyskał poważną pozycję i uznanie zarówno wśród studentów jak profesorów Belgijczyków. Często asystował swym uczniom przy egzaminach, które odbywały się publicznie i wiedziano, że kandydaci „od Wiśniewskiego” byli dobrze przygotowani.

Przez jakiś czas Ojciec był w Liege prezesem Stowarzyszenia Studentów Słowian, które założył Bułgar, Paweł Petrow. Ojciec wspominał, że w kolonii studentów — Polaków życie organizacyjne a także polityczne było bardzo rozwinięte. Obmyślano programy na przyszłość. Polacy mieli własne kuchnie, swoich polskich krawców, szewców a nawet sklepy z produktami warszawskimi.

Ojciec znany był także w kraju, jako ten, który ułatwiał i umożliwiał studia w Belgii opiekując się Polakami. Belgia i Francja podobały mu się, cenił kulturę francuską, cenił zalety Belgów, ich pracowitość, oszczędność, moralność i realizm życiowy. Ale nie wszystko, co mówił o Belgii podobało mi się. Mówił kiedyś, że wówczas w Belgii dziewczyny z nieślubnym dzieckiem nie miały żadnych praw do alimentów czy innych świadczeń „Wiedziała co robi, niech więc ponosi konsekwencje” — mówili Belgijczycy. Uważał to za bardzo niesprawiedliwe, przecież nie tylko ona, ale i on „wiedział co robi”.

Ojciec spełniał w Liege jakby rolę „konsula Polski”. Np. tłumaczył różne świadectwa na francuski i były one za jego podpisem i pieczęcią „Bratniej Pomocy” uznawane za oficjalne. Profesorowie podobno odnosili się do Polaków z sympatią i nie uznawali rozbiórów Polski.

Ojciec dobrze znał język francuski i rosyjski. Za głównych wrogów Polski uważał Niemców. Opowiadał jak kiedyś jadąc do Belgii zatrzymał się w Berlinie i siedząc na głównej ulicy „Unter den Linden” rozważał ogrom potęgi niemieckiej (było to przed I wojną światową) zapytując samego siebie: czy też kiedy ta potęga się zawali? Było to wtedy trudne do wyobrażenia.

W rodzinie wspomniano też inną „polityczną wizję” Ojca, który po wojnie 1920 roku powiedział: „A zobaczycie, że my jeszcze razem z bolszewikami pójdziemy do Berlina”.

Ukończywszy własne studia matematyczne Ojciec wrócił do kraju. Oprócz dyplomu miał też odbyte egzaminy doktorskie — ale rozprawę, (która w Belgii była mniej ważna) odłożył na później i wojna mu w tym przeszkodziła. Wrócił do Łodzi, gdzie zaczął pracować jako nauczyciel matematyki w gimnazjum „Zgromadzenia Kupców m. Łodzi”, przy ul. Dzielnej

(później Narutowicza), gdzie dyrektorem wtedy był pan Kloss (później Idźkowski). Zarazem Ojciec objął lekcje w gimnazjum żeńskim p. Waszczyńskiej (przy ul. Zielonej) i tam poznał moją matkę — również nauczycielkę — Mieczysławę Libiszowską. Wzięli ślub 28 czerwca 1914 roku w kościele Św. Krzyża.

W roku 1918, gdy młode małżeństwo miało już 2 dzieci (mnie i młodszego o rok i 9 miesięcy syna Zbigniewa). Ojciec został Dyrektorem nowego męskiego gimnazjum, które należało do „Stowarzyszenia Popierania Średniego Wykształcenia Handlowego” i mieściło się przy ul. Dzielnej (Narutowicza) 58. W związku z tym Rodzice moi otrzymali duże pięciopokojowe służbowe mieszkanie w budynku szkolnym na III piętrze. Parter I i II piętro zajęte były na szkołę — w dużej przybudówce mieściła się sala gimnastyczna.

To nowe mieszkanie służyło zresztą nie tylko nam, ale i pewnym osobom z rodziny matki, które przez dłuższe okresy u nas mieszkaly.

Trzeba dodać, że po ślubie Rodzice nie mieli nawet własnego pokoju — dzielili go z ojcem matki w mieszkaniu przy ul. Długiej (Gdańskiej) 87, gdzie przyszedł na świat w roku 1916.

Ojciec nie był właścicielem tego gimnazjum tylko dyrektorem — mówiono jednak „szkoła Wiśniewskiego”. Pod względem naukowym Ojciec postawił tę placówkę bardzo dobrze. Zatrudniał wysoko kwalifikowanych nauczycieli, były też dobrze wyposażone pracownie np. przyrodnicza, fizyczna, robót ręcznych. Biologii, którą wówczas zwano „przyrodą” uczyła znakomita nauczycielka p. Olga Kołodzyńska. Polskiego jakiś czas uczył p. Jagoszewski, potem p. Jarmoż, niemieckiego p. Hartówna, francuskiego p. Francewa. Niestety, nie pamiętam nazwisk wszystkich nauczycieli. Ojciec wykładał matematykę w klasach wyższych. Matka arytmetykę w niższych. Nauczycielem gimnastyki był przez jakiś czas p. Łuba. Doskonale postawiony był chór szkolny pod kierownictwem p. Aleksandra Charuby. Chór ten dawał nawet koncerty w Filharmonii i śpiewał podczas nabożeństw szkolnych, które co niedziela odbywały się w kaplicy sąsiadującego ze szkołą Domu Starców (przy ul. Dzielnej 60). Na budynku tego Domu Starców widniał napis: „Res sacra miser”, (dziś jest to „Collegium Anatomicum”) — w oficynie tej posesji mieścił się wówczas szpital położniczy. Pamiętam, że podczas nabożeństw tych pięknie śpiewał uczeń starszych klas niejaki Modzelewski.

Gimnazjum było ośmioklasowe z klasą wstępną tak, że kurs nauki — do matury — wynosił 9 lat. Budynek szkolny był właściwie niezbyt odpowiedni i niereprezentacyjny — mieścił się w głębi posesji — po lewej a po prawej był wysoki budynek mieszkalny — frontowego domu nie było. Przez bramę w budynku szkolnym wchodziło się na boisko szkolne znajdujące się na tyłach wielkiej kamienicy pod nr 56.

W suterynach mieszkali woźni, których było 3. Dwóch było Rosjan: Makary Kulgajuk i Iwan (Jan) Tereszkiwicz. Trzecim był Polak — Józef Cianciara. Każdy z nich obsługiwał jedno piętro. Jan był „od parteru”, był zaufanym pomocnikiem dyrektora, szykował mu herbatę której Ojciec zawsze pił bardzo dużo. Gdy był jakiś gość, przynosił ciastka itp.

Matka moja, Mieczysława Wiśniewska (ur. 6.I.1886 r.), nie miała uprawnień do uczenia w szkole średniej, bo nie miała wyższych studiów. Ukończyła — ze złotym medalem — gimnazjum w Kaliszu i uczyła w zakresie tzw. szkoły powszechnej, tj. w niższych klasach. Była bardzo dobrą nauczycielką ambitną i wymagającą. Zajmowała się też reżyserowaniem różnych szkolnych przedstawień, komedijek itp. Dużo czasu poświęcała również na pracę społeczną w ramach Akcji Katolickiej — była sekretarką Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet.

W 1929 r. zorganizowano w Poznaniu Powszechną Wystawę Krajową obrazującą dorobek dziesięciolecia niepodległości Polski — na tej wystawie „Szkoła Wiśniewskiego” w Łodzi miała swe stoisko.

W 1927 roku Rodzice kupili w Sieradzu niedaleko stacji kolejowej dom z dużym ogrodem. Mieszkało tam kilku lokatorów i dopiero, gdy jeden z nich się wyprowadził, można było uzyskać tam „mieszkanie letniskowe”.

Gdzieś w późnych latach dwudziestych (w roku 1928 lub 1929 — dokładnie nie pamiętam) zlikwidowano gimnazjum męskie Brauna mieszczące się w budynku przy rogu ul. Składowej i Narutowicza (obecnie jest tam Wydział prawa uniwersytetu) Uczniowie przeszli do „szkoły Wiśniewskiego”, która — chyba niedługo po tym — przybrała nazwę: gimnazjum im. Bolesława Prusa. Wiem, że Ojciec jeździł do Warszawy do żony Prusa (wtedy jeszcze żyła) i wziął od niej fotografię, według której wykonano duży portret Prusa, który wisiał w gimnazjum. Obowiązywały też szkolne mundurki ze stojącym kołnierzykiem, na którym z przodu po obu stronach były 2 złote paski tworząc kąt prosty. Gimnazjum

im. Bolesława Prusa miało kierunek „matematyczno - przyrodniczy” — to znaczy, że na te przedmioty nauczania kładło się specjalny nacisk (matematyka, przyroda, chemia, fizyka), choć humanistyczne nauki też były wykładane, łącznie z łaciną. Z języków nowoczesnych był do wyboru francuski lub niemiecki.

Mając 8 lat chodziłam — jako jedyna dziewczynka — do wstępnej klasy w szkole kierowanej przez Ojca. Niewiele się wtedy przemawiała nauką za to biłam się i łobuzowałam na równi z chłopcami. Pierwszą klasę przeszłam w żeńskiej szkole Pętkowskiej po czym klasę 2 i 3 znów w gimnazjum Ojca, ale w tym okresie już byłam spokojna i trochę nieswojo czułam się między chłopcami. Mając 12 lat zdałam do 4 klasy w Państwowym Żeńskim Gimnazjum im. Emilii Szczanieckiej. Wtedy już ogarnęła mnie „ambicja naukowa” byłam tzw. „prymuska” i na maturze miałam same piątki (ale złotego medalu ani jakiegos wyróżnienia z tego powodu nie dostałam). Po maturze w r. 1933 zostałam przyjęta na Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Dyplom lekarza uzyskałam wiosną 1939 r. na kilka miesięcy przed wojną.

Codziennie zajęcia i atmosferę w szkole „mego Ojca” poznałam więc od wewnątrz. Ojciec dyrektor i nauczyciel miał wśród uczniów duży autorytet, bali go się i szanowali zarazem. Wszelkie wrzaski, kłótnie, łobuzerka uspokajały się natychmiast, gdy na horyzoncie pojawiał się „migdał” — tak go nazywali, nie wiem dlaczego. Umiał utrzymać rygor i porządek, był przy tym doskonałym nauczycielem co dziś jeszcze już jako starzy — podkreślają jego uczniowie.

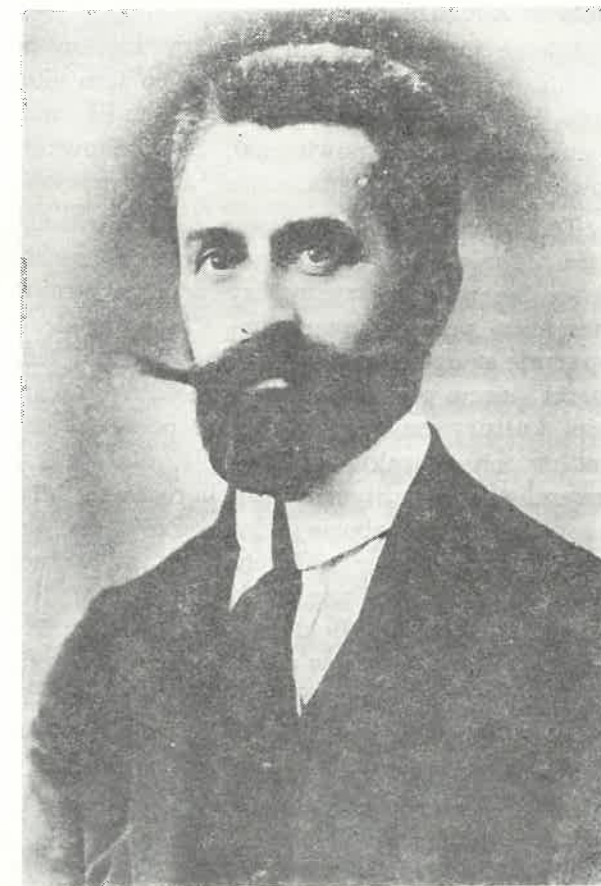
Religia była w szkole obowiązującym przedmiotem, ale ponieważ większość w klasie stanowili Żydzi odbywało się to w oryginalny sposób. My katolicy jako znaczna mniejszość przechodziliśmy do innego pustego pomieszczenia i przychodził do nas ksiądz. Niemcy — protestanci — też wychodzili i mieli lekcje z pastorem, a w klasie zostawali Żydzi i przychodził do nich rabin. W ogóle w ówczesnej Łodzi Żydzi stanowili, o ile wiem, ponad 30% ludności i bardzo rzucali się w oczy. Pamiętam, że na rogu Piotrkowskiej i Narutowicza (a więc w centrum) trzeba było przeciskać się przez kłębiący się tłum Żydów prawowiernych, a więc w chałatach, jarmułkach i z pejsami. Tak było co dzień. Żydzi zajmowali głównie bardziej północną dzielnicę miasta, gdzie chyba olbrzymia większość kamienic należała do nich. Aleja Kościuszki to była dzielnica „niemiecka”. Również fabryki na-

leżały do Żydów lub Niemców. Polacy to byli robotnicy — trochę rzemieślników i kupców i — raczej cienka — warstwa inteligencji.

Nie było wówczas w Łodzi żadnej wyższej uczelni. Istniała tylko tzw. wolna wszechnica nie mająca praw uniwersyteckich.

W szkole obowiązkowa też była modlitwa przed lekcjami zaczynająca się do słów: „Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze...” oraz po lekcjach: „Dzięki Ci Boże za światło tej nauki...”. Mówili ją uczniowie głośnym chórem, chyba również Żydzi, może tylko opuszczali oni zakończenie „Przez Chrystusa Pana naszego. Amen”.

Ojciec mój był wierzący, ale nie praktykujący choć obowiązków religijnych w szkole pilnie przestrzegał prowadząc uczniów w niedzielę na nabożeństwa szkolne. Był trochę antyklerykalnie nastawiony mówiąc, że „nie potrzebuje pośredników między nim a Panem Bogiem”. Ale było w tym trochę pozy. Jego religijność, a zarazem głęboki patriotyzm uwydatniły się mocno w referacie „Dzień dzisiejszy a my”, który wygłosił dnia 12.II.1926 r. w tzw. „Towarzystwie Kultury Katolickiej” z okazji IV rocznicy koronacji papieża Piusa XI — tekst tego przemówienia (wydrukowanego jako broszurka) przechował się do dziś. Trzeba też podkreślić,



KONSTANTY WIŚNIEWSKI JAKO MŁODY NAUCZYCIEL

repr. B. Kaczyńska

że Ojciec utrzymywał przyjazne towarzyskie stosunki z niektórymi duchownymi (ks. Krajewski z parafii św. Anny, biskup Tomczak, biskup Tymieniecki).

Nie należał do żadnej partii politycznej ale sam się określał jako demokratą i patriotą. Był wyznawcą myśli Dmowskiego, którego książki mój brat i ja czytaliśmy już w okresie szkolnym. Miał bardzo za złe Piłsudskiemu jego zamach majowy. A jak wiadomo wtedy w szkołach bardzo silnie narzucano kult Piłsudskiego w ramach tzw. państwowego wychowania.

W 1931 r. wydarzyła się sprawa, która rzuca pewne światło na ówczesne stosunki. Odbył się wtedy w Toruniu zjazd dyrektorów szkół średnich, na który Ojciec też pojechał. Po jego powrocie, w dość krótkim czasie przyszło z Ministerstwa Oświaty zarządzenie, które odbierało Ojcu prawo nauczania na terenie państwa polskiego. Była to wielka tragedia i katastrofa tak dla Ojca, jak dla całej rodziny. Z pomocą przyszedł wtedy biskup Tymieniecki, który szanował Ojca jako człowieka i pedagoga, a i bardzo ceniał pracę społeczną w Akcji Katolickiej mej Matki, którą nazywał „praktyczną idealistką”. Biskup pojechał wtedy do Warszawy i — zdaje się, że za pośrednictwem kardynała Kakowskiego — spowodował, że cofnięto to zarządzenie.

Ojciec milczał na ten temat i dopiero po wojnie mój brat dowiedział się o co tam chodziło. Podobno o to, iż Ojciec w swym przemówieniu na zjedzie powiedział, że wychowanie powinno być nie „państwowe” a „narodowe”.

To pojęcie „narodowe” w rozumieniu mego Ojca nie miało nic wspólnego z tym co dziś rozumie się przez faszyzm, czy w negatywnym znaczeniu przez nacjonalizm. Chodziło nie o wpajanie w dzieci szkolne, jakiegoś „kultu jedności” lecz o przekazywanie im istotnych wartości kultury narodowej. Ojciec oceniał ludzi według ich charakteru i czynów, nie według ich przynależności politycznej czy narodowej. Miał też przyjaciół w obozie piłsudczyków jak generał Orlicz-Dreszer i Głuchowski. Do żadnej partii politycznej Ojciec nigdy nie należał. Nie był też antysemitą. Niektórzy jego koledzy Polacy ożenili się z Żydówkami. Ojciec przyjaźnił się za czasów studenckich z młodymi studentami Żydami i Żydówkami — jedna z nich upatrzyła go sobie na męża i „spędziła z nim noc”, ale nie w obiegowym znaczeniu. Wychowany w surowych obyczajach Ojciec mój całą noc chodził po pokoju, palił papierosy, częstował ją herbatą, dyskutował i rozprawiał aż do rana. Tak „filozoficznie” zeszła ta noc — zapewne wbrew oczekiwaniom strony żeńskiej. Inna za-

bawna historyjka wynikała na tle zażytej znajomości z Żydami prawowiernymi, którzy gdy zabrakło im dziesiątego do modlitwy (Według przepisów powinno być dziesięciu mężczyzn) namówili Ojca, by udawał Żyda i modlił się razem jako ten dziesiąty, na co zgodził się uważając to za żart.

Ojciec był pedagogiem z powołania — bardzo lubił wyklądać, dyskutować, rozprawiać. Gdy miałam 2—3 lata pamiętam jak męczyłam go pytaniami o różne rzeczy, dlaczego są takie, skąd się biorą itd. i to w chwilach, gdy bardzo zmęczony chciał odpocząć. I zawsze w odpowiedzi otrzymywałem wręcz naukowe wykłady. Sądzę, że takie rozmowy z dziećmi są bardzo ważne w wychowaniu i powinien być na nie czas choćby przy wspólnych posiłkach, czy w święta. Druga ważna sprawa to dobre książki — dobrych pisarzy — tych było u nas w domu zawsze dużo. Pamiętam, że mając sześć lat już przeczytałam „Emancypantki” i „Faraona” Prusa — a potem inne książki wielkich pisarzy. Dziś książki w dużej mierze zastępuje telewizja, co wymaga od rodziców wielkiej czujności i rozwagi w wyborze programów dla dzieci.

Ciekawe książki kupowało się u p. Pawłak w księgarni „Czytaj” przy ul. Narutowicza 2. Tam też odbieraliśmy prenumerowany tygodnik dla dzieci „Moje pisemko”. Naprzeciw tej księgarni był również „atrakcyjny” sklep pani Szopskiej obsługiwany przez dwie starsze panie — tu kupowało się materiały piśmiennicze i różne kolorowe zabawki z papieru. Łódź była wtedy znacznie mniejsza niż obecnie — dzisiejsze osiedle mieszkaniowe to były wioski, a dojeżdżając koleją widziało się las kominów i chmurę dymu. Idąc ulicą Narutowicza w kierunku wschodnim dostrzegało się na końcu wiatrak, który jakby zamykał tę ulicę od wschodu.

Wracając do Ojca trzeba powiedzieć, że brał on również żywy udział w społecznym życiu nauczycielstwa łódzkiego. Przez 6 lat (1922—1928) był prezesem Zarządu Okręgowego T.N.S.W. (Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych). Utrzymywał przyjacielskie stosunki z kolegami np. Zimowskim, właścicielem gimnazjum męskiego. Był też co roku powoływany do komisji egzaminacyjnych maturalnych w różnych szkołach.

W 1935 r. mój brat zrobił maturę i to była już ostatnia matura w gimnazjum im. B. Prusa. Zostało ono zlikwidowane. Dlaczego? — nie wiem. Może „wyższym czynnikiem” nie podobala się osoba Ojca i za mało „ideologiczna” atmosfera w szkole. Możliwe, że przyczyną były sprawy ekonomiczne, gdyż o ile szkoła



PAN PROFESOR Z SIERADZA

repr. B. Kaczyńska

naukowo była postawiona bardzo dobrze, finansowo stała słabo i Ojciec od kilku już lat na to narzekał, wygłaszając pesymistyczne prognozy. Dochody nie równoważyły wydatków i aby podolać wydatkom Ojciec w ostatnim okresie nie pobierał własnej pensji. Matka twierdziła, że dom utrzymywany był głównie za jej zarobki, a w momencie likwidacji szkoła winna była Ojcu sumę, za którą można było by kupić drugą sieradzką posesję.

Po zamknięciu gimnazjum im. Prusa, Rodzice przenieśli się do Sieradza i przez rok Ojciec był bez pracy, po czym objął w Warszawie posadę dyrektora w szkole Braci Albertynów na Pradze. Nie chciał jednak przenieść domu do Warszawy i mieszkał wraz z synem — studentem Politechniki — w małym sublokatorskim pokoju. Ja mieszkałam w Domu Akademickim przy ul. Górnośląskiej. Matka została w Sieradzu, gdzie na święta i wakacje zjeżdżała się cała rodzina.

Wiosną 1939 r. uzyskałam dyplom lekarza, ale jeszcze bez prawa praktyki. Latem wyjechałam za granicę i zdążyłam wrócić tuż przed wojną — w nocy z 31 sierpnia na 1 września przyjechałam do Sieradza, do Matki Ojciec z bratem byli w Warszawie. Po paru dniach uciekłyśmy z Sieradza do Łodzi, do rodziny, a później do Warszawy, ale naszych panów nie zastałyśmy — wyruszyli na wschód.

Zostałyśmy z Matką w obleżonej przez Niemców Warszawie.

Nie będę opisywać okropności jakie przeżyliśmy — przeżywał je wtedy cały Naród. Dość, że gdzieś na przełomie października i listopada 1939 r. znów wszyscy czworo znaleźliśmy się w Sieradzu. Niestety nie na długo. Okupanci zaczęli okrutne noce wysiedlania i ostrzeżono nas, że jesteśmy „na liście” do tego. Natychmiast więc późnym wieczorem wynajętą furką uciekłyśmy na wieś, gdzie w bardzo ciężkich warunkach — dwukrotnie zmieniając miejsce pobytu ukrywaliśmy się przez prawie dwa lata. Przy rejestracji ludności, życzliwie ostrzeżeni przez urzędnika, nie podaliśmy swych zawodów ani swego związku z Sieradzem. W tych niemieckich dowodach osobistych tzw. „placówkach” w rubryce „zawód” Rodzice mieli napisane „przy córce”, a ja i brat „przy rodzicach”. Ojciec wtedy zgolił brodę i wąsy, aby go nie poznano. Adwokat Boliński z Łodzi, uczeń i przyjaciel Ojca, odszukał nas wtedy przez osoby zaufane i zaoferował pomoc przesyłając potem przez 2 lata po 100 marek miesięcznie, co było podstawą naszego utrzymania.

Brat dostał posadę traktorzysty w majątku ziemskim którym zarządzali Niemcy z Łotwy, hrabiostwo Melin, porządni ludzie, życzliwi dla Polaków. Ja trochę leczyłam potajem-

nie ale raczej udając „znachorkę” trochę też udawałam chorą na płuca. Zresztą po zapaleniu opłucnej, którego nabawiłam się w czasie obłęzenia byłam istotnie zagrożona gruźlicą, do której na szczęście nie doszło.

Latem 1941 r. mocno zagrożona wywozem do Niemiec zdecydowałam się na ujawnienie mojego dyplomu u odpowiedniej władzy lekarskiej w Łodzi. Już wtedy — po wybuchu wojny z Rosją — Niemcy potrzebowały dużo lekarzy i nie gardziły również polskimi. Skierowano mnie do Szadku, małego miasteczka pod Zduńską Wolą, gdzie miałam być lekarzem Ubezpieczalni dla polskich robotników, ale musiałam leczyć też Niemców, bo w okolicy nie było innego lekarza. Zaczęłam wtedy zarabiać i po pewnym czasie mogłam spłacić państwu Bolińskim zaciągnięty dług choć bynajmniej tego się nie domagali — w ogóle dużo pomagali ludziom. W Szadku mieszkalam z Rodzicami do końca wojny. Ojca przyuczyłam trochę na „pomocnika” np. mógł robić zastrzyki, czasem brałam go ze sobą na wieś do chorego — wtedy bywało, że zwracano się do niego z szacunkiem „panie doktorze” mnie z początku ignorując. W okresie pracy w Szadku nie miałam żadnych urlopów czy zwolnień chorobowych — dzień i noc „na dyżurze”. Z rzadka tylko wyrывałam się do Łodzi do rodziny na 1—2 dni i jako Polka zawsze musiałam mieć od burmistrza „pozwolenie” na przejazd koleją — zwykle celem „kupienia narzędzi potrzebnych do praktyki”.

Niemcy nazwali Łódź Litzmannstadt (niemiecki generał Litzmann zdobył ją w 1915 r.) a Zduńską Wolę — Freihaus. W Łodzi na ulicach słyszało się prawie tylko polski język, a wszystko było „für Polen verboten” (dla Polaków zabronione) nawet najlichsze knajpy, nie mówiąc już o cukierniach. Księgarnie były dostępne, a że niemiecki znałam nie źle, kupowałam książki medyczne — również szwajcarskie. Kartki żywnościowe dla Polaków były bardzo liche, ale trzeba powiedzieć, że ten ciemny chleb i brak cukru oraz słodczy (słodziliśmy sacharyną) był korzystny dla zdrowia — zwłaszcza dla zębów. Niestety po wojnie ludność polska znów rzuciła się na cukier i białe pieczywo uważając ciemny chleb za symbol niewoli.

Nabiał kupowało się potajemnie — zresztą mieliśmy własne kury, a przez jakiś czas nawet kozę.

Po wojnie wróciliśmy do Sieradza, gdzie Ojciec wprost zachłannie rzucił się do swej ukochanej pracy nauczycielskiej. Mimo, że miał już 63 lata zaangażował się jako nauczyciel matematyki w trzech instytucjach — w

tym oczywiście w gimnazjum a także w szkole oficerskiej (w Sieradzu stacjonował pułk) i w technikum handlowym. Gdy kiedyś na szkoleniu nauczycieli zapytano go czy i jak prowadzi w szkole walkę klasową, odpowiedział: „Tak. Walczę z klasą nieuków — kropię dwóje”. Trzeba jednak powiedzieć, że mimo tego „kropienia dwój” Ojciec był bardzo lubiany przez młodzież, z którą też bardzo lubił dyskutować i rozprawiać.

Brat mój zaraz po wojnie zamieszkał w Łodzi, by kończyć Politechnikę. Ja początkowo pracowałam w Sieradzu — po tym chciałam osiedlić się na tzw. Zachodzie, ale zrezygnowałam z tego i od roku 1949 też zamieszkałam na stałe w Łodzi. W 1953 r. Ojciec przeszedł na emeryturę i teraz jakby znów powrócił dla niego okres młodości — był znów korepetytorem, który „wyciągał” najgorszych „dwójkowiczów”. Wielu też uczniów przygotowywał do egzaminów na wyższe studia. Trzeba dodać, że Ojciec na emeryturę przeszedł przymusowo. Już w sierpniu 1950 r. dyrektor nie przedłużył mu kontraktu w liceum — jak mówiono na zlecenie I sekretarza PZPR w Sieradzu (Sekretarz ten po paru miesiącach sam został wydalony z partii). Technikum handlowe zamknięto. Najdłużej Ojciec pracował w Oficerskiej Szkole Łączności.

W 1953 r. miał już 71 lat, a przy tym narosła nowa kadra nauczycieli, którzy mieli nakazy pracy. Musiał więc ustąpić. Ale jeszcze w kwietniu 1957 r. Ojciec napisał do ministra oświaty podanie z prośbą o przywrócenie go do pracy w liceum w charakterze profesora etatowego. Powoływał się przy tym nie tylko na swe długoletnie doświadczenie w tej pracy, i ma doskonałe opinie szkolnych wizytatorów o jego nauczaniu, ale i na to, że w listopadzie 1956 r. wiec młodzieży uniwersyteckiej upominał się o jego powrót do szkoły. Domagał się tego również Zarząd Powiatowy Z.N.P. (Związku Nauczycielstwa Polskiego) w Sieradzu. Podanie to zachowało się jak również krótki (2,5 strony formatu maszynowego) życiorys Ojca, który on sam skreślił jeszcze w roku 1949. W zakończeniu tego życiorysu napisał (cytuje):

„Kariery nie chciałem robić choć były okazje. Pozostałem sobą, nauczycielem... Do żadnej partii nie należałem i nie należę. Jako polityk byłbym nie zrozumiany, jako nauczyciel zawsze byłem w swoim żywiole i w pracy nauczycielskiej znalazłem wiele zadowolenia. Młodzież to miłe środowisko”. (koniec cytatu).

Wiosną 1964 r. Ojciec zaczął zapadać na zdrowiu i pesymistycznie przebąkiwać o rychłej śmierci. Umieściłam go wtedy dla przeba-

dania w klinice w Łodzi. Gdy wszedł na Izbę Przyjęć młoda dyżurna lekarka wykrzyknęła z entuzjazmem: „Pan profesor z Sieradza”! Ojciec przyjrzał jej się bacznie i powiedział: „Ale pani nie była moją uczennicą”. „Tak — nie byłam — odpowiedziała — ale kończyłam gimnazjum w Sieradzu”.

Niestety — trzeciego dnia po przyjęciu do szpitala Ojciec zapadł na zapalenie płuc, z wysoką gorączką i utratą przytomności. Stan ten z wahaniem trwał parę tygodni wreszcie stał się beznadziejny i wtedy zabrałam Ojca do do-

## Ci z Piotrkowskiej

12.

Lubimy symbole. Kiedy Warszawa — to walczące Nike. Kiedy Kraków — to zwycięski Jagiełło. Łódź symbolizuje nierządno ów charakterystyczny stożek z Kościuszką na czubku. Naczelnik wrósł niewątpliwie w krajobraz miasta a nawet jego historię, ale każdemu, kto fotografuje pomnik na Placu Wolności, jakoś tam ręka drgnie i ustawi obiektyw na wlot ulicy Piotrkowskiej, od prawie dwustu lat obstawiony po bokach — Ratuszem i kościołem. I, skoro przewinął się po tych kartach poczet prezydentów Magistratu, przyjrzymy się tym, którzy pod dachami tego drugiego gmachu troszczyli się o pomyślność wieczną mieszkańców Łodzi.

A jest to kościół ze wszystkich łódzkich, a może i polskich — najdziwniejszy, jeśli szacunek dla poświęconych murów nie pozwala na użycie przymiotnika — najdziwniejszy. A to z następujących powodów. Widnieje on na najstarszych sztychach łódzkich, a więc — rówieśnik Ratusza. Ale tylko częściowo. Bo ten stary, ze sztychów, został rozebrany, a na jego miejscu zbudowano zupełnie nowy. Po drugie — jest katolicki. Ale tylko częściowo. Bo powstał jako ewangelicki, przeszedł na inne wyznanie, ale dom parafialny stanowi w dalszym ciągu własność protestantów i trzeba im płacić czynsz. Po trzecie — jest kościołem garnizonowym. Ale tylko częściowo. Tak się złożyło, że żołnierze, zawsze w niedzielę o dziesiątej mają akurat czyszczenie broni, nie mogą więc

mu, do siebie. Udało mi się jeszcze na tyle „postawić go na nogi”, że po paru miesiącach mógł wrócić z Matką do Sieradza, gdzie przeżył jeszcze rok. Ale był już niedołączny i o lekcjach nie było mowy. Pod koniec życia zmienił się też jego stosunek do religii. Umarł jako praktykujący katolik 16.X.1965 r. Pochowany jest na Starym Katolickim Cmentarzu w Łodzi przy ul. Ogrodowej.

KINGA WIŚNIEWSKA-ROSZKOWSKA

przychodzić na Mszę. Praktycznie działa więc jako normalna parafia cywilna. Po czwarte — duchowni zostali wkomponowani w hierarchię kościelną. Ale tylko częściowo. Kapelani otrzymują bowiem stopnie wojskowe od państwa, muszą więc oddawać honory generalom. I wreszcie po piąte — księża utrzymują się z tak zwanej „tacki”. Ale również tylko częściowo. Bo księża wojskowi otrzymują wynagrodzenie państwowe.

Opisana tu dziwność, czy dziwaczność, ma swoje uzasadnienie w historii.

Kiedy powstawała Łódź przemysłowa, władze Królestwa Polskiego zapewniły kolonistom posługę duchowną, a nawet „Układ zgierski” przewidywał, że „Na kościół ewangelicki i na dom pastora zostanie bezpłatnie wydzielony grunt oraz drzewo”. Świadomi tych postanowień, łódzcy tkacze i sukienicy zwrócili się w roku 1822, przez burmistrza Czarkowskiego, do komisarza Obwodu Łęczyckiego z prośbą o zezwolenie na budowę kościoła. Nie wzięli tylko pod uwagę faktu, że oprócz gruntu i drewna trzeba mieć pieniądze na inne materiały budowlane, na architekta i robociznę. Sprawa odwlekła się więc kilka lat, aż najechało do Łodzi tylu osadników, że przedsięwzięcie okazało się realne. W roku 1825 budowniczy okręgowy, Krzysztof Dierring (Düring?) sporządził plan kościoła i domu parafialnego. W tymże roku odwiedził Łódź prezes Komisji Mazowieckiej, Rajmund Rembieliński, w jego obecności powołano komitet budowy, którzy zobowiązał się zebrać połowę pieniędzy — 25 tysięcy guldenów, drugie tyle obiecał Rembieliński z kasy państwowej. Na

czyle komitetu stanął pastor Bando ze Zgierz, pomagali mu — fabrykanci Wendisch i Rundzieher oraz przedsiębiorca innego rodzaju — Adamowski. I teraz można już było zaczynać. Majster Wojciech Chodecki zobowiązał się wykonać robotę do września 1827 roku. Ruszył z kopyta i na początku przyrzeczonego roku dom parafialny (Piotrkowska 4) obwieścił wiechą koniec pierwszego etapu. Z kościołem szło oporniej, bo Chodecki regulował tempo robót według napływu gotówki, a parafianie mieli również inne wydatki. Skoro stała plebania, można już było pomyśleć o jej gospodarzu. Komitet zwrócił się do konsystorza ewangelickiego w Warszawie z prośbą o naznaczenie pastora, a nawet — wysunął kandydata. Nazywał się Friedrich Metzner, pochodził z Kamienicy w Saksonii, a oprócz zalet natury duchowej reprezentował on 30 rodzin potencjalnych osadników, którzy mieli wraz z nim przyjechać i osiaść w Łodzi. Kandydata przeszła, pastor przyjechał, odczekał, kiedy kościół zajmie swoje miejsce w krajobrazie miasta i oto doszło do uroczystości poświęcenia. Aktu tego dokonał, w szóstą niedzielę po świętej Trójcy (26 lipca 1829 roku) kaliski superintendent A. Modl. Zbieżność z tą uroczystością zadecydowała o przyjęciu Świętej Trójcy jako patrona kościoła.

Ale był to kościół bez ławek, organów, dzwonów. Świątynie ewangelickie cechuje prostota i surowość, jednakże te cztery ściany i krzyż na ołtarzu zakrawały albo na przesadę, albo na ubóstwo. Zważywszy czas i okoliczności — chodziło oczywiście o to drugie. Sytuacja poprawiła się znacznie, kiedy o interesy kościoła zatroszczyła się wdowa nazwiskiem Anna Krystyna Frost. Pożyczyła gminie swój majątek wartości 6 tysięcy guldenów, stawiając tylko dwa, niezbyt uciążliwe warunki: że gmina będzie jej spłacała po 600 guldenów rocznie, z terminem płatności na świętego Jana, oraz że modlić się będzie za duszę jej zmarłego męża Christiana. Za uzyskane w ten sposób pieniądze pastor Metzner kupił 50 ławek, 3 różnej wielkości dzwony i ośmiooktawowe organy. Musiało wtedy nieźle stać polskie rzemiosło artystyczne, skoro dzwony wykonał Aleksander Rymaszewski z Żychlina, a organy wyszły spod ręki mistrza Żakiewicza z Brzezin. Jeden z tych dzwonów wzywał na modlitwę jeszcze w latach trzydziestych tego stulecia. Należy jednakże pamiętać, że poświęcenie i wyposażenie kościoła przypadło na lata poprzedzające Powstanie Listopadowe. Kiedy wybuchło, nieszczęścia wojenne pochłonęły majątek wdowy Frost, dłużnicy, między innymi Rymaszewski i Żakie-

wicz upomnieli się o resztę należności i kościół znów znalazł się w katastrofalnym położeniu.

Uwagi piszących o przebiegu Powstania w tym mieście z reguły nie uchodzi kazanie pastora Metznera, który z ambony powiedział: „Verflucht sei die Hand, die sich gegen den Kaiser aufhebt!” (Przeklęta niech będzie ręka, co się podnosi na cara!). Klątwa ta musiała w każdym polskim uchu zabrzmieć paskudnie. Z drugiej jednak strony, gdyby postawić się w położeniu pastora, może w tym okrzyku więcej było rozpaczy niż politycznej wrogości. Waliły się przecież jego plany utrzymania kościoła na jakimś przyzwoitym poziomie, a związek przyczynowy między Powstaniem a zubożeniem wdowy i kościoła widoczny był gołym okiem.

Przecież pastor wybrnął jakoś z kłopotów i dotrwał do lat 50-tych, kiedy to jego miejsce zajął Karl Gustaw Manitus. Ten nie zapisał się w dziejach tego miejsca niczym szczególnym, natomiast postać następnego pastora, Klemensa Bertholda Ronthalera godna jest uwagi z kilku powodów. To miasto stało się Ziemią Obiecaną dla wielu, ale i miejscem nędzy i udręki dla licznych. Toteż od początku okazały się niezbędne różne formy działalności charytatywnej. Nazwisko Ronthalera zaczęło się pojawiać w prasie, w kontekście tych i innych spraw. Również w prasie polskiej, kiedy i ta doszła do głosu. Pastor umiał zapewne wyciągnąć wnioski z faktu, że znaczna część ludności była polska. A poza tym — pomimo wyraźnego podziału: ewangelickie — niemieckie, katolickie — polskie, trafiali tu również osadnicy z katolickich obszarów Niemiec, a wreszcie — nie należały do rzadkości polskie nazwiska w gminie wyznaniowej ewangelickiej: Jan Ostrowski, Adam Torno, Jan Adamowski, Andrzej Strychulski. Przede wszystkim, rzecz jasna, dobrze zapisał się pastor Ronthaler w dziejach własnego kościoła i gminy.

W czasie, kiedy Ronthaler sprawował urząd, okazało się ostatecznie, że stary kościół zbudowano nie na potrzeby tak wielkiego miasta, jakim Łódź stała się w drugiej połowie XIX wieku. W roku 1885 pastor podjął starania o zezwolenie na budowę nowej świątyni. Załatwianie formalności szło w rosyjskim tempie, zgoda przyszła po trzech latach, jeszcze w następnym roku stary kościół został do fundamentów rozebrany, a na jego miejscu wzniesiono nowy, według nowego planu, ten właśnie, który stoi do dzisiaj.

Z następców Ronthalera wypada wymienić Rudolfa Gundlacha, podobnie jak poprzed-

nik, zaangażowanego w sprawę całej społeczności łódzkiej. W prasie sprzed pierwszej wojny można znaleźć wzmianki, że na pogrzebach osób noszących nazwiska niemieckie wygłaszał przemówienia po polsku — dowód, że zarówno pastor, jak i społeczeństwo ulegało pewnym przemianom. Jednym z ostatnich pastorów przed drugą wojną był Gustaw Schedler, który tym się zapisał w dziejach miasta, że wydał w roku 1929 książeczkę pod tytułem „Eben-Ezer” z niemieckim podtytułem: „Stuletnia historia ewangelickiego kościoła Św. Trójcy w Łodzi”.

Tuż po wojnie mieszkańcy tej części ulicy Piotrkowskiej opowiadali, że w 1939 roku w kościele było zatrudnionych trzech pastorów, którzy jakoby należeli do piątej kolumny i z kościelnej wieży nadawali przez radio informacje o sytuacji w mieście. Konsekwentnie — byli zaangażowani w hitlerowski „nowy ład” w czasie okupacji. Toteż w krytyczne dni stycznia 1945 roku uciekli wraz z niemiecką administracją. Podobno zostali złapani i rozstrzelani. Trudno stwierdzić, ile w tym prawdy, a ile fantazji. Niewątpliwą prawdą jest, że kościół i dom parafialny zostały wtedy zostawione własnemu losowi. Mieszkania pastorów zajęli żołnierze radzieccy, ale się to później doprowadziło do porządku.

W tym mniej więcej czasie znalazł się na łódzkim bruku, przybyły z Wilna, kapelan wojskowy, ksiądz Włodzimierz Ławrynowicz. Rozejrzał się po Łodzi i wypatrzył ten pusty kościół. Właściwie ocenił sytuację i zaczął szukać kogoś uprawnionego. Nie było to łatwe, bo gospodarze woleli nie pchać się na oczy. Wreszcie, niby przypadkiem, nawinął się pastor nazwiskiem Kotula. Przedstawił się jako Polak, a może polskojęzyczny Ślązak z Pszczyny. W obu wariantach budził mniej niechęci lub ostrożności, niż gdyby był Niemcem. Co więcej — okazał się chętny do rozmów, ugodowy i nie stawiając trudności skontaktował księdza Ławrynowicza z odpowiednim superintendentem, który formalnie zrzekł się kościoła na rzecz rzymsko-katolickiej diecezji łódzkiej. Ksiądz Ławrynowicz podjął trud zorganizowania nowej parafii, początkowo sam, ale na szczęście właściwe owym czasom wędrówki ludów przywiodły do Łodzi podlasiaka, księdza Piotra Lisieckiego. Przechodził mimo i zobaczył światło w kościele. No to zajrzał do środka i... został na lat kilkadziesiąt, aż do późnej emerytury. Wtedy jeszcze o emeryturze nie myślał, dzielił natomiast z księdzem Ławrynowiczem troskę o to, by przekształcić surowe w swoim wystroju wnętrze kościoła ewangelickiego w katolicki.

W spadku po przeszłości zostało to i owo, co mogło i teraz służyć temu samemu przeznaczeniu: polichromia kopuły, ambona, witraże, żyrandole, chrzcielnica. Zostały też 30-głosowe organy, którym ksiądz Ławrynowicz postarał się dodać kilkanaście głosów dodatkowych, a poza tym — artyści polscy, tworząc po wojnie, włożyli sporo trudu i umiejętności, by doprowadzić wewnątrz kościoła do dzisiejszego wyglądu. Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej na prawym balkonie to już dowód wileńskich sentymentów pierwszego proboszcza.

Stając się katolickim, kościół przyjął wezwania Św. Ducha.

Mówiąc o tych pierwszych latach po wojnie, warto też przypomnieć wydarzenie nie najważniejsze, ale charakterystyczne dla owych czasów. W kancelarii parafialnej został po poprzednich gospodarzach sejf, a jego zawartość frapowała księdza Lisieckiego. Bezskutecznie namawiał proboszcza, by sprowadził fachowców, otworzył i sprawdził, czy nie ma tam jakichś dokumentów cennych dla kościoła, a może o jeszcze większej wartości. Ksiądz Ławrynowicz nie kwapił się. Sprawa nabrała ponownie aktualności w roku 1948, kiedy stanowisko proboszcza garnizonowego objął ksiądz Barański. Ten zgodził się doprowadzić do otwarcia sejfu, ale po uprzednim zawiadomieniu odpowiednich władz cywilnych. Ksiądz Lisiecki odradzał. Proboszcz postawił na swoim. Sejf otwarto w obecności milicjantów i urzędników. Znalezione w nim trochę pieniędzy, pokwitowania i kasetkę. Zawierała duży, szczerozłoty klucz do wrót kościelnych. Była to zapewne pamiątka ponownego otwarcia kościoła w czasach pastora Ronthalera, w roku 1892. Przedstawiciele władz po prostu ten niezwykle klucz zabrali.

Ano, takie były czasy... Pewnego razu ksiądz Lisiecki otrzymał z urzędu finansowego nakaz zapłacenia isticie ogrodniczego domiaru. Poszedł tam po wyjaśnienia. „Podatki, jakie ksiądz płaci, są za niskie w stosunku do wielkości parafii” — rzekł urzędnik i utrzymał nakaz w mocy. Ale podłoże sprawy szybko się wyjaśniło. Jednego z najbliższych dni wezwano księdza telefonicznie do milicji, na ulicę Sienkiewicza. Wprawdzie obowiązywało już wtedy polecenie prymasa Stefana Wyszyńskiego, by księża stosowali się tylko do wezwań formalnych na piśmie, ale zaskoczony ksiądz Lisiecki nie pamiętał o tym i poszedł. Zaproponowano mu, aby podpisał akt lojalności. Jako tak zwany „ksiądz patriota” nie tylko nie będzie płacił podatków ale jeszcze otrzyma pensję od państwa. Podziękował za

uprzejmość, ale wolał zostać przy swoich skromnych dochodach. Milicjant Annasz zagroził więzieniem albo ujawnieniem rzekomo rozwiązłego życia księdza. Skoro ksiądz obstawał przy swoim, zawleczono go przed oblicze Kajfasza. Ten zaczął od roztoczenia wizji krat i kajdan. Upewnił się tylko, czy biskup wie o księdza obecności w tym miejscu. „Wie...” — „No to wyprowadzić go!” — padł wrzaskliwy rozkaz. Wyprowadzić — na ulicę.

W międzyczasie wykształciła się druga linia pracy duszpasterskiej — cywilna. Znalazł się na terenie Łodzi były więzień hitlerowskiego obozu w Dachau, ksiądz Stefan Stępień. Jemu to biskup ordynariusz powierzył funkcję proboszcza. Nie obeszło się bez pewnych sporów kompetencyjnych. Bowiem ówczesny proboszcz garnizonowy, ksiądz podpułkownik Kruczyński rościł sobie prawo do wyłączności. Jednakże w pałacu biskupim sprawę postawiono w ten sposób, że nie ma w Polsce biskupa wojskowego, wobec czego każdy duchowny, bez względu na posiadanie lub nie szlif oficerskich, podlega biskupowi ordynariuszowi. I ksiądz Stępień zarządzał parafią aż do emerytury. Bardzo mu zresztą potrzebnej, ze względu na utracone w Dachau zdrowie. Jego następcą został ksiądz Jerzy Spychała. Proboszcz ten uznał za swoją powinność nie tylko pełnienie służby duszpasterskiej, ale również zachowanie w ludzkiej pamięci historii i wyglądu kościoła. Opublikował więc szkic o zmianach, jakie nastąpiły we wnętrzu kościoła po przejściu go przez diecezję katolicką.

Wstęp do niniejszego rozdziału przedstawia kościół Św. Ducha jako niezwykły, zważywszy przemieszanie w nim pewnych, nie dających się wzajemnie pogodzić cech. Brakło tam jeszcze jednej. Jak pamiętamy, kościół ten, w swojej ewangelickiej historii działał pod wezwaniem Świętej Trójcy. Administracja katolicka przyjęła na patrona — Świętego Ducha. Z drugiej strony — jeśli przypomnimy sobie postać pastora Kotuli, który współdziałał przy zręczeniu się świątyni na rzecz katolików, to pastor ten zamieszkał w jednym z trzech lokali domu parafialnego. Mieszkanie to pozostaje i dziś w posiadaniu pastorów, zresztą — cały dom należy do gminy ewangelickiej. Ale, żeby dopełnić miary wspomnianych dziwaczności, pastor, w swojej korespondencji z parafią katolicką adresuje listy demonstracyjnie: „Parafia Świętej Trójcy”.

Możnaby postawić pytanie, jakie mieli widoki z okien mieszkańcy domu parafialnego Świętej Trójcy, a więc pastory. — W pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia, zapewne na nieużytki, rozkopane i zawalone cegłą, za

nimi — na las. Natomiast w drugiej połowie perspektywę tę zasłonił im „Hotel de Pologne”. Wzniesiony na przeciwko, pod trzecim, przez Antoniego Engla. Hotele na ogół nie nakierowują myśli ludzkich ku sprawom transcendentnym i wiecznym, toteż, sądzić należy w oknach tego hotelu dawały się zauważyć scenki raczej świeckie, — pomimo, że pan Engel nastawiony był na prowadzenie porządnego przedsiębiorstwa. Nazwa wabiła francuszczyzną nie tylko z fasady. Nawet o miejscu nazywanym wtedy „wygódka” informował napis „comodité”. A czy na trzydzieści pokoi, jakimi dysponowała dyrekcja, wystarczała jedna „comodité” czy było ich dwie, o tym historia milczy.

Dla wygody gości oraz Szanownej Publiczności, hotel dysponował restauracją. W tej zaś — niejedna fortuna szlachecka pękła, niejedna okoliczny dwór przeszedł w ręce niemieckie lub żydowskie, w następstwie czego dziedzic osiadł w mieście, by się tak lub inaczej przekwalifikować — jeśli to dzisiejsze słowo nie kłóci się z nastrojem tamtych lat. Restauracja ta zostawiła swój ślad w aktach policyjnych okresu Powstania Styczniowego. Przypominają one kolację, jaką sobie zafundowali — cyrulik Herman Koch w towarzystwie krawca Witkowskiego i tapicera Gajewskiego. Akta dawne tego miasta przeoczyły wiele spraw ważnych, ale przechowały wiadomość, że kolacja trzech wymienionych panów składała się „z nogów bydłych”. Raczyl się więc golonką lub zimnymi nóżkami, zaostrzali apetyt gorzałką, a przy tkóryms kieliszku cyrulik Koch zaczął się awanturować. W mieście komentowano właśnie prośbą zniszczenia przez bezrobotnych fabryki Prussaka i Scheiblera. „Nie dosyć, że fabryki porozbijane — krzychał Koch — trzeba by orły pozrzuć!” Zarzekał się, że zrobi to osobiście. Ale nie zrobił. Ciekawe, że to nie krewcy z natury Polacy brali się do „rozróby”, a spokojny, a nawet bojaźliwy „starozakonny”. Zresztą — śledztwo nie ujawniło dowodów jego winy, a z perspektywy czasu wygląda to na nieudaną prowokację.

Hotel Polski gdzieś nam się w historii rozplątał. Dziś w budynku tym nie oferują swoich usług skłonne do zbytków panienci, natomiast rozdzielają się stateczni, zgnębieni chorobami naszego wieku, obywatele — w gabinetach Spółdzielni Lekarskiej. Jeśli dziś popatrzyć na fasadę budynku, z trudem przypomną się choćby międzywojenne czasy świetności tego miejsca. Sąsiadowały ze sobą dwa sklepy „towarów kolonialnych” — Franciszka Glugli i Józefa Wolskiego. W tej chwili w lokalu

Wolskiego spożywczy sklep „Społem” pyszni się półkami zapełnionymi octem i kawą zbożową „Dobrzyńka”, a wtedy było inaczej. Ale nie warto snuć impresji na tematy zaopatrzeniowe, skoro sklep Wolskiego można upamiętnić wydarzeniem w pewnym sensie doniosłym. W okolicach tych mieszkała w latach dwudziestych dwudziestego wieku znana aktorka, Maria Dąbrowska. A był to czas, kiedy publiczność łódzka, nierzadko wsiowej proveniencji, dopiero uczyła się kultury. Dąbrowska, w sztuce Zenona Parwiego „Synowa z suterem” grała rolę źle traktowanej przez męża wyrobicy Mielczarkowej. Według relacji przekazanych autorowi tych stronice przez wieloletniego suflera teatrów łódzkich, Stefana Heine, właśnie przed sklepem Wolskiego zaczęła Dąbrowską biednie ubrana kobiecina i zachwyliła się spotkaniem osobiście z „panią Mielczarkową”. Kobieta wygłosiła monolog, przypominany na s. 18 książki „Sezon w Łodzi nie zaszkodzi” (WŁ 1978):

— Jejku kochany! Jak ja żem się nad panią s płakała. No przecież to jakby pani mój los pokazała. Tak samo mnie chłop łobuz z dzieciakami zostawił, a sam z „lafiryndą”, „ną wiórkach”, znaczy — na kocia łapę siedzi. Ale czego pani to wszystko ludziom pokazujesz? A bo to zrozumieją? Jakesz go pani wczoraj z knajpy wyciągnęła, to wszystkie się śmieli. Ja i jeszcze ze dwie płakały. Teraz jużem się trochę otrzęsła. Służbę znalazłam, to się przyodziałam, dzieci ogarnęłam, żyję jakoś. Państwo mam dobre, zgrzeszyłabym, jakbym powiedziała inaczej. Jakby pani, pani Mielczarkowa do jakiego obowiązku postąpiła, to i pani by się trochę podreperowała...”

Maria Dąbrowska nie wyjaśniła kobiecie różnicy między sobą, a wyrobnicą Mielczarkową. Pozwoliła, by działała magia teatru.

Wydarzyło się to przed domem sąsiadującym z Ratuszem. A im bardziej cofalibyśmy się w czasie, tym większy czulibyśmy ciężar gatunkowy tej części miasta. To było centrum! Zrozumiała jest więc rzeczą, że tu miały miejsce wydarzenia ważne. A do takich należały demonstracje i pochody, których ta część Piotrkowskiej bywała widownią. No choćby pamiętny Bunt Łódzki w 1892 roku. To wtedy przejeżdżał niesławnej pamięci prezydent Pieńkowski i groził manifestującym robotnikom „tysiącem bomb i krzyżujących się kartaczy”. I również tutaj rozegrał się jeden z pierwszych dramatów rewolucji 1905 roku. 15 stycznia pomiędzy placem Wolności (wówczas — Nowym Rynkiem) a ulicą Południową poczęli się gromadzić robotnicy, aby protestować przeciwko planowanej mobilizacji. Formował się

pochód. „Z tłumu — jak głosi raport żandarmerów — oddzielił się jeden robotnik i wyszedł na środek ulicy z czerwonym sztandarem. „Nazywał się Tomasz Książczyk. Na sztandarze widniał z jednej strony napis: „Precz z mobilizacją! Niech żyje wolność!” Z drugiej — „P.P.S.” Przyszło wojsko i policja. Z tłumu posypały się strzały. Pluton wojska załadował broń, by odpowiedzieć salwą, ale nadjeżdżający tramwaj zasłonił cel. Strzelali natomiast policjanci. I wtedy to padł zabity chorąży Książczyk.

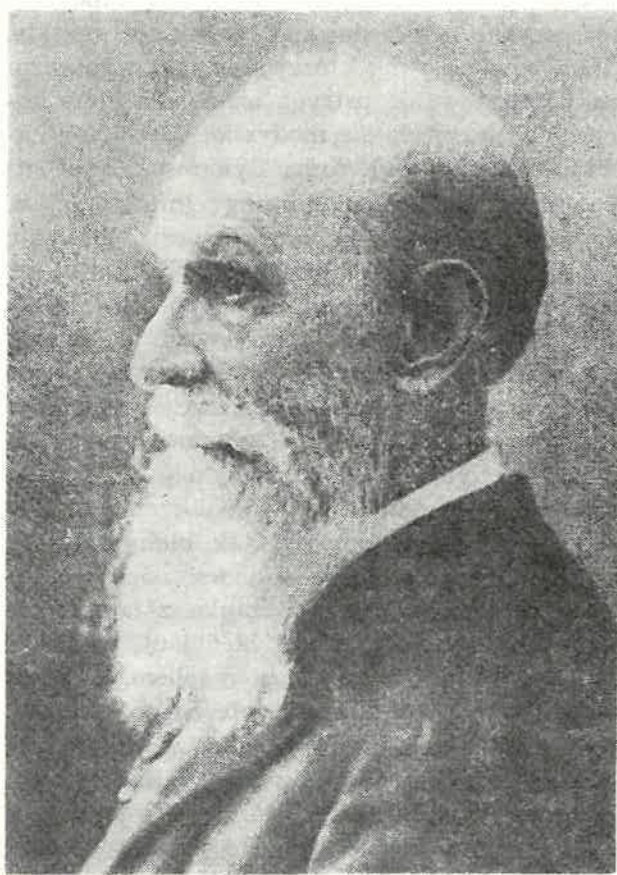
Zalany krwią kawałek bruku, który przeszedł do historii. A czy to miasto bardzo przejmuję się swoją historią, — to już inna sprawa.

Kiedy się tak stoi w pobliżu tego miejsca, w którym zginął Książczyk, to wystarczy rozejrzeć się wkoło, by zobaczyć, jak z zakamarków, z za narożników wypełzają cienie spraw i cienie ludzi, którzy snuli się po tym kawałku Piotrkowskiej wcześniej czy później. Bo chronologia nie jest w tych impresjach i wspomnieniach zaplanowana.

Ten narożny dom pod jedenastym nosił kiedyś dumną nazwę „pałacu Scheiblera”. Scheiblerowie nie stąd się wywodzą, a z Księzego Młyna, ale ich fortuna dotarła aż na Piotrkowską, nie jedną zresztą macką. Ale o Scheiblerach — później, kiedy się zbliżymy do ich dziedziny. A tu — szyldy firmy „Karol Göppert” wiązały tam dom raczej z produkcją kapeluszy niż perkali. Sprzedawano kapelusze męskie. Taka bowiem pani, której starczało wyobraźni na komponowanie pstrych ozdób dla głów kobiecych, nazywała się modystką. Modystek należało szukać dalej. Anna Rynkowska (op. cit) powtarza za „Lodzer Zeitung” informację, że do czasu założenia sklepu Göpperta łodzianie „nosili przeważnie niebieskie czapki” Ratuj się tradycjo! Ratuj się obyczaju polski! „Blaue Mütze” to po polsku „maciejówki”. Takie słowa jak Maciej, „maciejka”, „maciejówka” pachniały dawniej wsią i długo jeszcze po otwarciu tego sklepu (fabryka kapeluszy powstała w 1878, chyba niedługo po tym — sklep) do robotniczej elegancji należało noszenie maciejówki. Ich temat nie jest tak błahy, jak by się z pozoru wydawało. Na wsi nosili je zamężni chłopcy: granatowa czapka z lakierowanym daszkiem. A może ci biedniacy, co przyszli do Ziemi Obiecanej za chlebem, nałożyli maciejówkę jako dowód społecznego awansu? Była czapka tak bardzo polską, że przyjęli ją jako element regulaminowego stroju legionistów Piłsudskiego. Historyk i legionista, a poza tym — łodzianin, Wacław Lipiński pisze w książce „Szlakiem I Brygady”: „... na Piotrkowskiej spotkałem pierwszych trzech strzelców, dosko-

nale prezentujących się w swych szaroniebieskich mundurach z maciejówkami...” Należy więc wątpić, czy Göppert wprowadził przewrót w zwyczaju noszenia takich lub innych nakryć głowy. Warto to czapkowo-kapeluszowe studium rozszerzyć o następującą informację. Majstrowie fabryczni nosili meloniki. Oczywiście nie tylko oni. Konstrukcja melonika bardzo odpowiadała potrzebom bojowców P.P.S.-u. Pod jego obszernym denkiem ukrywali pistolety. Póki szpicle na to nie wpadli. Tak więc roli firmy Karol Göppert w upowszechnieniu kapelusza nie należy przeceniać, pamiętając przecież o tym, że ten szczególnie garderoby odegrał znaczną rolę w dziejach Łodzi i — nie tylko. Kapelusz został nobilitowany przez fakt wejścia do wielkiej literatury. Bohater „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna, Hans Castorp mówi do Joachima: „A kapelusz trzeba wkładać na głowę, żeby go można było zdjąć, kiedy zajdzie potrzeba”.

Szyldy Karola Göpperta przyciągały uwagę przechodniów i raczej one kojarzyły się łodzianom z tym domem niż bogactwo Scheiblerów. A przecież w budynku tym działy się rzeczy ważniejsze niż panowanie bawelnianego królika lub formowanie filcu w kapeluszu. Tutaj Jan Petersilge założył pierwszą w Łodzi



JAN PETERSILGE — ZDJĘCIE ARCHIWALNE

gazetę. Była dwujęzyczna a nazywała się „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger”.

Trudno powiedzieć, czym się kierował Petersilge, podejmując przedsięwzięcie tak niezwykłe? — Chęcią zrobienia pieniędzy? — nie zrobił! Przeciwnie, prawie od samego początku zabiegał o przymus prenumeraty dla zajazdów, cukierni, restauracji, gdyż inaczej całe przedsięwzięcie nie miaoby podstaw finansowych, a więc — sensu. Wbrew sensowi Petersilge stworzył tę gazetę, a skoro nie mógł na nie zarobić, zapewne kierował się w swoich poczynaniach interesem nie materialnej natury i tym przeszedł do historii miasta.

Z propozycją założenia pisma zwrócił się najpierw do magistratu. Zbyto go czymkolwiek. Nalegał. Wtedy prezydent Traeger zwołał posiedzenie radnych, ale ci mieli na głowie inne kłopoty niż zakładanie gazety. Właśnie wojna secesyjna w Ameryce spowodowała gwałtowną wyżkę cen bawełny. Kilka fabryk przestało pracować, groziło powszechne bezrobocie, zastój, klęska. Zapewne byli wśród radnych życzliwie nastroszeni do pomysłu, na przykład Jan Jarzębowski, albo Adolf Likiernik. Likiernik to taki zapoznany łódzki Berek Joselewicz. Parę lat później von Broemsem wysłał go na Syberię za udział w Powstaniu. Ale i ci dwaj okazali się bezsilni i zgodnie z protokołem z posiedzenia Rady, „Interes ten pozostawia się późniejszemu czasowi.”

Ten „lepszy czas” nie nadchodził. Wobec tego Petersilge postanowił wykorzystać ten gorszy.

Dotąd, jeśli zaborcza administracja miała coś do zakomunikowania ludności, kazała doboszowi bić w bęben przed magistratem i kiedy ludzie się zebrali, ogłoszono im treść zarządzenia. Sprawy ważniejsze publikowano w prasie warszawskiej: „Dzienniku Powszechnym”, „Gazecie Polskiej” i „Gazecie Warszawskiej”. Na te niedogodności zwrócił Petersilge uwagę policji i zaprezentował pomysł łatwiejszego kontaktu z mieszkańcami — za pośrednictwem gazety. Rozumowanie to trafiło do przekonania policmajstrowi Kalińskiemu i oto 2 grudnia 1863 roku wyszedł pierwszy numer gazety „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger”.

Natchnieniem, głównym ideologiem i faktycznym redaktorem jej pierwszych numerów był — policmajster Kalinski. Można go uznać za pierwowzór redaktora z „nomenklatury”, „w teczce przyniesionej”, typ, jaki dominował w mass-mediach sto lat później. W pierwszym numerze policmajster apelował do mieszkańców, by szanując przepisy stanu wojen-

nego, byli czujni wobec wewnętrznych i zewnętrznych wrogów „ojczyzny”, a czujność ta miała się wyrażać prowadzeniem ksiąg mel-dunkowych, sprawdzaniem, czy osoba zatrzymująca się w hotelu lub domu prywatnym nie podróżuje w „złych” zamiarach. Zresztą, każdy właściciel domu, jeśli nie chciał narażać się na karę w wysokości 15 procent majątku i zajęcia domu przez wojsko, musiał śledzić swoich lokatorów i donosić policji o spostrzeżeniach. Nie należy więc sądzić, że stalinowski kodeks karny został wymyślony dopiero w dwudziestym wieku. W kodeksie tym artykuł 58 punkt 11 przewiduje kary dla tego, kto „znał, no nie skazał”. Wiedział, a nie doniósł. Z łanów gazety policmajster przestrzegał też przed zbiórką pieniędzy na „tajemne cele” oraz przed śpiewaniem zakazanych hymnów. „Mam nadzieję — kończył — że tutejsi mieszkańcy pojmą moje dążności, że pragnę ich zasłonić od kar i dlatego przypominając im powyższe przepisy spodziewam się, że dołożą starania do odwrócenia skutków smutne następstwa za sobą pociągających.”

Mieszkańcy Łodzi byli wówczas w trzech czwartych analfabetami, a ogłaszane przepisy charakteryzowały, jak wszędzie pod rosyjskim panowaniem, drobiazgowość. Toteż wpadli w konflikty z zaborczą władzą na każdym kroku. Oto parę przykładów: Ei Ferdynand został skazany na grzywnę w wysokości 25 rubli za niezameldowanie obcego człowieka. Kilku innych musiało wysupłać po 50 kopiejek za... noszenie żałoby. Natomiast Henryk Buhle zapłacił karę 10 rubli za noszenie czamarki. Jeżeli więc w okresie Powstania jeden Niemiec zakładał polską gazetę, a drugi pokazywał się publicznie w czamarcie, to gdybyśmy nawet przyjęli, że kilku innych Niemców nosiło w tym czasie żałobę z powodów wyłącznie rodzinnych, to widocznie w łonie społeczności niemieckiej zaludniającej Łódź dziewiętnastowieczną zach-

dziły interesujące procesy, których dotąd nikt nie zbadał.

Tak więc po „Łódzkie Ogłoszenia” kolejka się nie ustawiła. Petersilge, opierając się na raz uznanej zasadzie, że pismo ułatwia pracę władzom, domagał się subwencji, a nawet nałożenia na zamożniejszych przymusu kupowania gazety. Z entuzjazmem tej propozycji nie przyjęto, bo to, panie dobrodzieju, podymne płac, na szkołę płac, na kościół płac, na cmentarz płac, a teraz jeszcze na gazetę. Wtrąciła się Rada Miejska z sugestią, by jakoś to pismo ożywić. Wprowadzić na przykład jakieś ciekawe artykuły albo utwory, „któreby wpłynęły na zachęcenie czytających”. Wtedy Petersilge wynalazł stosowany do dziś, zwłaszcza w tygodnikach ilustrowanych, sposób drukowania tak zwanych „opracowań”, których autorzy znają w jakimś stopniu obce języki, nie znają natomiast angielskiego słowa „copyright”. Poza tym władze zaborcze zgodziły się na wspomniany przymus abonamentu dla cukierni, szynków, rzeźników, piekarzy, kupców itp.

Ta dwujęzyczna gazeta utrzymała się zaledwie dwa lata. Po tym zaś czasie Petersilge powiększył jej objętość, zmienił nazwę na „Lodzer Zeitung” i przeniósł redakcję na drugą stronę Piotrkowskiej, kilka domów dalej.

Jednakże pod jedenastym została nie tylko pamięć tej pierwszej gazety, ale również jakieś maszyny drukarskie oraz tradycja działalności prasowej i wydawniczej. Bowiem adres ten w długiej historii „pałacu Scheiblera” pojawia się co jakiś czas, zawsze w kontekście słowa drukowanego. Tak na przykład w okresie międzywojennym istniało tam jakieś Towarzystwo Drukarsko-wydawnicze, a również otworzył tam swoją filię „Kurier Łódzki”.

JERZY URBANKIEWICZ

#### USŁUGI POLIGRAFICZNE — z zakresu techniki „TYPO”

- Wszelkiego rodzaju druki akcydensowe
- Broszury i książki w miękkiej oprawie
- Foldery
- Ogłoszenia
- Reklamy
- Dyplomy
- Zaproszenia
- Afisze
- Ulotki
- Metki firmowe
- Wizytówki itp.

Poleca drukarnia:

**ZAKŁADU DOSKONALENIA ZAWODOWEGO**  
w Łodzi, ul. Wróblewskiego 17

Tel. 84-97-21

Zawsze miałem sentyment do hoteli. Do dziś urzeka mnie ich specyficzna atmosfera — ciszy, intymności, tajemniczości. Postanowiłem nawet napisać książkę o łódzkich hotelach i ich bywalcach. O hotelach, które często bywały świadkami wydarzeń historycznych, kulturalnych i zostały uwiecznione w znanych powieściach oraz poematach, a także w utworach o wątpliwej wartości literackiej. Zaświatał mi tytuł, zapożyczony z głośnego przed laty romansu pisarki austriackiej Vicki Baum — „Ludzie w hotelu”. Może się kiedyś do tego zabiorę. Na razie wzbogacam domowe archiwum gromadzonymi informacjami i dykteryjkami o tych przybytkach, co przetrwały do dziś i o tych, po których zostały już tylko wspomnienia.

## PRZY DAWNEJ PUSZCZY ŁÓDZKIEJ

Zanim powstały w Łodzi hotele, w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, przybywający do naszego miasta goście zamieszkiwali w zajazdach. Pierwszym był Paradyz, zbudowany w 1829 r. przez Jana Adamowskiego przy ul. Piotrkowskiej 175, na zapleczu enklawy ówczesnej puszczy łódzkiej. Zatrzymywali się tam przeważnie aktorzy, występujący gościnnie na deskach pierwszego w mieście stałego teatru niemieckiego.

W tym to zajazdzie zamieszkał wraz z żoną w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, w drodze z Paryża do Petersburga, światowej sławy aktor murzyński Ira Frederic Aldridge, genialny odtwórca szekspirowskiego Otella. Po występach w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Toruniu, Lublinie, Radomiu i w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie grał razem z trupą teatralną Anastazego Trapszo, Aldridge przybył do Łodzi w dniu 5 sierpnia 1867 r. Miał dać trzy przedstawienia w teatrze Fryderyka Sellina „Arkadia”, ale nie wystąpił ani razu: powaliło go zapalenie płuc. Po dwóch dniach zakończył życie w tym pierwszym łódzkim zajazdzie i został pochowany na cmentarzu ewangelickim przy ul. Ogrodowej.

Niebawem następny zajazd znalazł swą siedzibę na Starym Mieście, w narożniku pl. Kościelnego i ul. Zgierskiej. Nazwisko właściciela utonąło w pomroce dziejów. W wozowni tego budynku odbywały się pierwsze przedstawienia teatralne w języku polskim.

## NAJSTARSZE HOTELE ŁÓDZKIE

Listę tę zapoczątkował Hotel Polski, zbudowany w r. 1853 przez Antoniego Engla przy ul. Piotrkowskiej 3; dzierżawił go do wybuchu drugiej wojny Karol Berthold. Murowany, jednopiętrowy budynek, dysponował sześćdziesięcioma miejscami noclegowymi. W okresie wydarzeń Powstania Styczniowego zatrzymywali się tu emisariusze Rządu Narodowego. W głębi posesji znajdowały się pomieszczenia dla koni i powozów, przywożących co znamienitszych gości.

Sławy panu Englowi pozazdrościł August Dressler. W siedem lat później otworzył konkurencyjną placówkę na Starym Mieście, na rogu Łagiewnickiej i Starego Rynku. Nazwał ją szumnie: Hotel Krakowski, a że dysponował skromniejszymi funduszami, stać go było jedynie na wzniesienie mizernego budyńca, mogącego się pochwalić aż ... pięcioma pokojami noclegowymi.

Kolejny hotel łódzki, a właściwie, jak byśmy to dziś nazwali kombinat hotelowo-rozrywkowo-gastronomiczny pod wspólną nazwą Victoria stanął na posesji przy ul. Piotrkowskiej 67. Hotel zajmował front budynku, teatr grał w głębi podwórza, a knajpa hotelowa karmiła i poiła gości w oficynie.

## STANAŁ PO PAŃSKU W VICTORII

Hotel i teatr robiły bokami, interes zdecydowanie kulał. Tylko knajpa przynosiła jakieś dochody, ale nie wystarczało to na opędzenie wydatków. Toteż właściciele Victorii postanowili szumnie zareklamować deficytowe przedsiębiorstwo, żeby ludzie walili tam drzwiami i oknami. Zadanie to powierzyli popularnemu w owym czasie poecie i publicyście warszawskiemu, Kazimierzowi Laskowskiemu, sygnującemu swe utwory kryptonimem „El”. I oto na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”, z którym Laskowski stale współpracował, ukazał się sążnisty wiersz zachwalający pod niebiosą łódzką Victorię, a zwłaszcza jej część hotelarsko-gastronomiczną. Na wstępie autor pisze, że „stanął po pańsku w Victoria hotelu”, nadział na siebie odświętny garnitur, po czym poszedł przekąsić coś do hotelowej restauracji.

Zjadłem „warmerwurstli”,  
Palnąłem dwa piwa,  
Słucham ... co u licha?  
Ktoś w hotelu śpiewa.  
Teatr. Więc do Texla:  
„Bilet, przyjacielu”  
I byłem na „Nitouche”  
W Victoria hotelu.  
Zaraz po spektaklu  
Z Winklerem Marianem  
Dalszy rekonesans  
W grodzie bawelnianym.  
W teje restauracji,  
Gdzie już we dnie byłem,  
Z filarami sztuki  
Noc całą spędziłem.  
Wreszcie już nad ranem  
O cieńszym portfelu  
Znalazłem się w łóżku  
W Victoria hotelu.  
Spałem niczym suseł,  
Wybiła dwunasta ...  
Zrywam się na nogi,  
Czas wielki do miasta.

I tak dalej w tym stylu. A na zakończenie, pomny solidnego honorarium, autor zwrócił się z gorącym apelem do czytelników:

I każdemu radzę  
W turystycznym celu,  
By miasto Łódź zwiedzał  
W Victorii hotelu!

Bardzo ciekawe informacje o twórcy tej epistoły zawdzięczam Waławowi Pawlakowi, pisarzowi, znanemu badaczowi dawnych dziejów łódzkich.

„Wydaje się jednak, że nie dotarł on (Laskowski, przyp. A.O.) do celu, a wierszowany reportaż o naszym mieście, zamieszczony w „Tygodniku Ilustrowanym”, napisał na podstawie zapamiętanych wrażeń hotelowo-knajpiarskich, jakich doznał w czasie uprzednich pobytów w Łodzi. Dla pełniejszej charakterystyki tej postaci warto dodać, że Kazimierz Laskowski, pisujący również do „Kuriera Warszawskiego”, podsunął kierownictwu tej gazety projekt objazdu miasteczek i wsi w celu opisanie życia prowincji. Kupiono mu więc konia z uprzężą i wyekwipowano na drogę. Wkrótce do redakcji poczęły napływać pierwsze korespondencje. Po pewnym czasie okazało się jednak, że Laskowski nie wytknął nosa poza Warszawę. Sprzedał bowiem na targu praszkim wierzchowca z uprzężą, a uzyskaną gotówkę przepijał w knajpie „Pod światełkami”. Tutaj też fabrykował dla „Kuriera” obrazki z prowincji korespondenta konnego”.

## POLONIA, MANTEUFFEL, MONOPOL, KLUKAS

Mijały lata. Coraz to nowe hotele wyrastały w Łodzi, jak grzyby po deszczu. Okazała, jak na owe czasy, Polonię otworzyli na rogu Widzewskiej (Kilińskiego) i Dzielnej (Narutowicza) bracia Dobrzyńscy. A oto jak reklamowali się w prasie: „Telefony i radioaparaty, bieżąca zimna i gorąca woda w każdym pokoju, ceny bardzo niskie”. Bo konkurencja była olbrzymia.

Popularność, ale i nie najlepszą opinię zdobył sobie hotel Manteuffel przy ul. Zachodniej 45, należący do Józefa Petrykowskiego. Podobną renomę miał Monopol przy ul. Zawadzkiej 7, przemianowanej po wojnie na Próchnika.

Dzierżawcą Monopolu był niejaki Bernheim. Trzech braci o tym nazwisku działało w Łodzi. Pozostali dwaj — w branży gastronomicznej. Szoel prowadził restaurację koszerną na Piotrkowskiej, tuż za rogiem dzisiejszej ulicy Więckowskiego, bodaj pod numerem 27. Często, przeważnie w piątki, wyskakiwaliśmy tam z redakcji naszej „Republiki” na tradycyjny czulent. Cóż to był za smakołyk! Duszone w łoju wołowym aż do brązowości kartofle, kawałki mięsa (obowiązkowo wołowego), fasola jasiak i gęsia szyjka nadziewana mąką z tłuszczem. Garnek, w którym piekł się ten cymes, musiał być z lanego żelaza i całą noc drzemał w piecu piekarniczym. Delektowaliśmy się siekaną wątróbką (też gęsią), pypkiem, a na deser — sztrudlem, ciastem nadziewanym jabłkami lub śliwkami. A gdy czasu nie stawało, wpadaliśmy jak po ogień do drugiego p. Bernheima, Hersza, właściciela mieszczącego się vis a vis redakcji (Piotrkowska 62) baru a la Fourchette. Czekwały tam na nas kanapki (też koszerne) i kufelek piwa.

Podobnie jak Victoria (padła pastwą pożaru), Monopol i Manteuffel, nie zachował się do dzisiejszych czasów hotel Klukasa przy ul. Cegielnianej (Jaracza) 34, którego ostatnim właścicielem był potomek tego rozgałęzionego rodu — Fryderyk. Dzisiaj w pomieszczeniach dawnego hotelu funkcjonują agendy Uniwersytetu Łódzkiego, Hotel Klukasa utrwalił Julian Tuwim w swych „Kwiatach Polskich”. Pisząc o jednym z bohaterów poematu, wspomina:

A mieszkał u Klukasa, tam gdzie  
Dziewierski poznał swą Andzię.



TAK WYGLĄDAŁ GRAND HOTEL PRZED I WOJNĄ ŚWIATOWĄ

zdjęcie archiwalne ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi

### SAGA GRAND HOTELU

Palme pierwszeństwa wśród licznych przed pierwszą i drugą wojną łódzkich hoteli dzielił niepodzielnie Grand Hotel, któremu niedawno stuknęło sto lat. To właśnie z popularnym „Grandem” wiąże się wiele doniosłych dla miasta i jego mieszkańców wydarzeń.

Tutaj w r. 1892 zainaugurował swą działalność chór „Lutnia”, jedna z pierwszych tego rodzaju placówek kulturalnych w Polsce. Przed Grand Hotelem zabłysła pierwsza w mieście uliczna latarnia elektryczna, a po odzyskaniu niepodległości w r. 1918 załopotana na jego murach po raz pierwszy biało-czerwona flaga. Do przyhotelowej restauracji dwa razy w r. 1905 i 1921 — wtargnęli głodujący bezrobotni i usunęli na ulicę zajadających się frykasami gości.

Grand Hotel to bogata karta w dziejach miasta. Ponad wiekowy dziś staruszek miał początkowo dwa piętra. Po pożarze dobudowano jeszcze dwa, a ostatnie, piąte piętro, uzyskał hotel dopiero po drugiej wojnie światowej. W murach „Grandu” nasi pra-pradziadkowie przeżywali nie lada emocje oglądając na rozpiętym prześcieradle „ruchome obrazki” (Jak to się nazywało? Elektrotachy-

skop?) Po latach w tym samym pomieszczeniu otworzyło podwoje pierwsze kino „Mirage”, które zmieniło potem nazwę na „Grand Kino”.

W czasie okupacji rosyjskiej Łódź masowo odwiedzały kupcy z Kurskiej, Tombowskiej czy Omskiej guberni. Przyjeżdżali po perkaliki, flanele, inletry. Rynek imperium rosyjskiego wchłaniał łódzkie tkaniny jak gąbka wodę. Panowie w sobolowych szubach, w futrach do kostek, papachach na głowie, z patriarchalnymi brodami, nie wzbudzały sensacji wśród przechodniów: wtopili się w pejzaż łódzkiej ulicy. I oni najczęściej zatrzymywali się w „Grandzie”, a hojnie rozdawane napiwki zginały do pasa służbę hotelową.

Z tych to czasów zachowała się pyszna anegdotka. Reprezentacyjny apartament wyposażony w łazienkę, będącą wówczas szczytem komfortu, zajmował wysoki stopniem oficer carski, ponoć książę gruziński. Po kilku miesiącach odwołano go do Szt Petersburga. Recepcja wystawiła rachunek, wyszczególniając opłaty za pobyt od do, sprzątanie, śniadania, pranie i korzystanie z łazienki. Ostatnią pozycję książę skreślił zamaszystym pociągnięciem pióra, dopisując na marginesie „Ni raz nie kupiła”.



W GRAND HOTELU, ROK 1959. AUTOR WSPOMNIEN OBOK JANA KIEPURY. Z PRAWEJ RED. MICHAŁ ORLICZ, NA PIERWSZYM PLANIE RED CEZARY JUSZYŃSKI, Z TYLU HENRYK ŚMIGACZ

fot. H. Śmigacz

W Grand Hotelu gościli mężowie stanu odwiedzający Łódź, zagraniczni biznesmeni. Odbywały się tu doniosłe narady, a zaraz po wyzwoleniu, gdy dopiero myślano o odgruzowaniu Warszawy, reprezentacyjny hotel łódzki przyjął w gościnne progi przedstawicieli tworzonych ministerstw, władz lokalnych, central i ogólnokrajowych instytucji.

Tutaj też zatrzymał się w r. 1959 przybyły na kilka koncertów król polskich tenorów Jan Kiepusza. I choć panicznie stronił od fotoreporterów, tym razem pozwolił sfotografować się Henrykowi Śmigaczowi, gdy ten przypominał mu jak to przed laty razem śpiewali w „Glannis Chi-chi”, dziecięcej operze jednoaktowej. Na pamiątkowym zdjęciu i ja figuruję: odwiedziłem Kiepuszę, by go nakłonić do wywiadu dla „Karuzeli”. Jednak nic z tego nie wyszło. Może dlatego, że nigdy nie odśpiewałem z mistrzem żadnej arii?

### PAN MEYER ZAMYKA ULICĘ

Ale wróćmy do początków istnienia Grand Hotelu. Należał on do spółki akcyjnej. Największy pakiet akcji nabyli dwaj wspólnicy przemysłowcy — Heinzel i Kunitzer, od których „Widzewską Manufakturę odkupił później Uszer Kon, niepodzielny do wojny władca tych wielkich zakładów włókienniczych. Trochę akcji zgromadził przemysłowiec Ludwik Meyer. Ten dostąpił największego zaszczytu spośród wszystkich akcjonariuszy — jego imieniem nazwano sąsiadującą z „Grandem” ulicę: dzisiejsza ul. Moniuszki przez lata nosiła miano Pasażu Meyera. A pan Meyer w trosce o porządek i spokój na swojej ulicy zamknął ją dla pospólstwa: u wejścia i wylotu postawił wynajętych stróżów, którzy według swego uznania i za opłatą przepuszczali tylko wybranych przechodniów.

Po okupacji rosyjskiej w Grand Hotelu nastąpiła zmiana wachty. Wpokojach znowu rozgościli się sztabowcy — tym razem Niemcy. W 1915 roku przed frontem budynku odbyła

się słynna parada niemieckich batalionów przed przybyciem do Łodzi dostojnikiem wojskowym. U boku gościa karnie stanęli miejscowi dygnitarze z „krajaskomedy” miasta Łodzi.

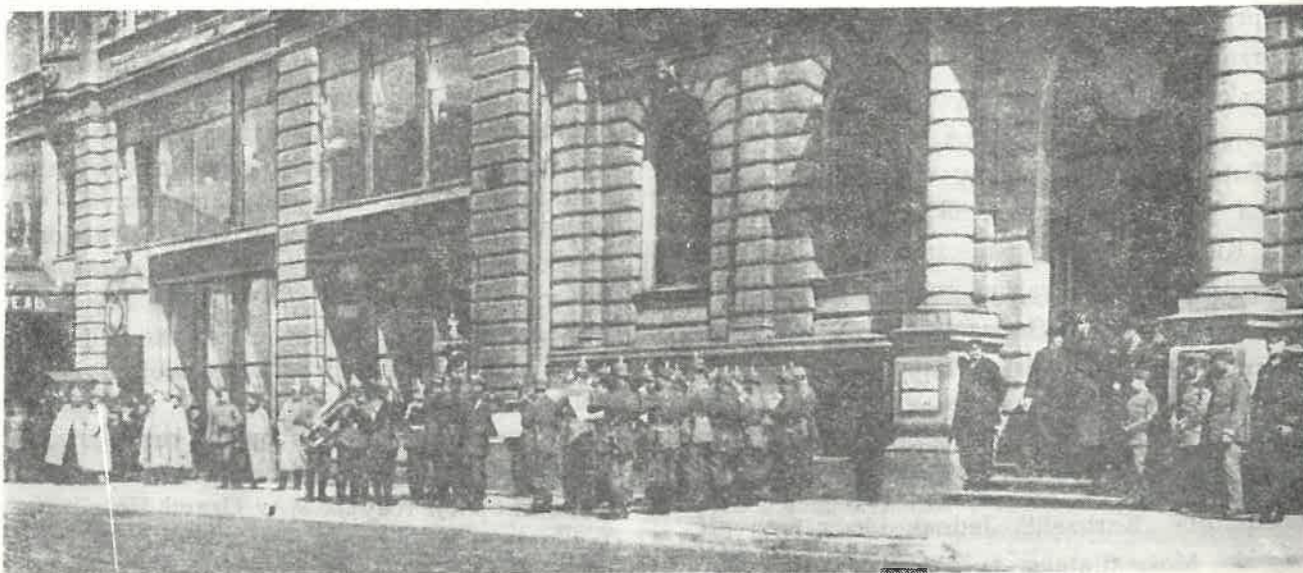
Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi  
Z trzaskiem parademarsz odchodzi.  
Brodaty landszturm, w lewo łby,  
A karną linią za feldfeblem  
Wyrzuca sztywno i uparcie  
Podkute stopy. Trzeszczy werblem  
Grzmot pruskich bębnow. A na warcie,  
Wpatrzony w marszu jak wierne psy,  
Giętkie lejtnanty, adiutanty:  
Czerwony kołnierz, monokl, trzcinka,  
Cienka jak ostry gwizd piszczałek:  
„Za Ren, za Ren, niemiecki Ren”,  
I gość dostojny — feldmarszałek,  
Szkariatno-siwy Mackensen.

Julian Tuwim, „Kwiaty polskie”

### (PAN SALOMON ROBI KONKURENCJĘ)

Na sukcesy Grand Hotelu krzywym okiem spoglądał wiedeński bankowiec Salomon Ringer. Postanowił wznieść w Łodzi hotel, który zaćmi swym blaskiem ekskluzywny „Grand”. Przede wszystkim jego budynek musi być wyższy o kilka pięter! Zadanie to p. Ringer zlecił architektowi z Warszawy Cynamonowi, a ten szarpnął się na 7-piętrowy „drapacz chmur”. Niech przechodnie zadzierają głowy i cmokają z podziwu! — cieszył się pan Salomon.

Budowa Savoy'u, takie miano otrzymał nowy hotel, pochłonęła — jak wspomina Jerzy Urbankiewicz w „Sukiennicach nad Łódką” — 300 tysięcy rubli. Mimo znacznej siły na-



PRZED GRAND HOTELEM W 1915 R.

fol. Ignacy Płazewski

bywcej tejże waluty, nie było to zbyt wiele jak na taką inwestycję. Mniej więcej w tym samym czasie Jan Petersilge wybudował na Piotrkowskiej 86 „Dom pod Gutenbergiem”, dokąd przeniósł wydawaną przez siebie „Lodzer Zeitung”. I choć jest to budynek zaledwie 4-piętrowy, kosztował równo pół miliona rubli.

Zazdrosny, zapalczywy finansista z Wiednia, nie zastanawiał się długo nad lokalizacją. Wybrał jak można najgorzej: Savoy stanął na wąskiej, ledwo przejezdnej ulicy Krótkiej (Traugutta) pozbawionej skrawka zieleni w najbliższym sąsiedztwie, wciśnięty między obiskurke czynszowe kamienice, czym bynajmniej wyglądu miasta nie upiększył.

(...) I ten sterczący głupio Savoy,  
I wyfioczone przekupki,  
I szyld odwieczny „Muzskij portnoj,  
On-że madam i przerupki”.

Julian Tuwim, „Łódź”.

Pan Ringer nie zbił kokosów. Niebawem musiał się rozstać z hotelem, który do wojny 1939 kilka razy zmienił właścicieli. Ostatnim dzierżawcą Savoy'u był Józef Palejewski, powstać raczej mało znana, ale dla ścisłości przypominać i to nazwisko.

### (MINI HOTELE I POKOJE UMEBLOWANE)

Na gości „o cieńszych portfelach” czekały mini hotele. Mnóstwo ich namnożyło się w latach międzywojennych i wcześniej. Zachowały się nazwy niektórych: d'Angleterre (?!), Ryski, Północny, Rzymski (gdzie Rzym, gdzie Krym?)... Rozlokowały się głównie w Śród-

mieściu, w pobliżu Dworca Fabrycznego — na Dzielnej, Wschodniej, Zawadzkiej, na Średniej (później Pomorska, obecnie Nowotki).

Miasto roiło się od tych przybytków, a w nich — od pluskiew i innego robactwa. Ale insekty nie odstraszały niektórych bywalców, zresztą nie zdążyły im dokuczyć. Bo owi goście zbyt długo tam nie popasali — ot, pół godziny, godzinę, w kolejce czekał już inni i inne. A jeśli ten inny zjawił się sam, też mógł liczyć na towarzystwo, bo zawsze na podorędziu była jakaś inna.

Bazę noclegową uzupełniały również pokoje umeblowane, przeważnie w Śródmieściu. Na Piotrkowskiej pod numerem 82 zapraszał w swe progi obrotny pan Marienstrass. Ponoć i on użyczał gościny stęsknionym parom na godziny. Niedaleko, pod numerem 64 na tejże ulicy, do pokoi gościnnych „wraz z usługą” zapraszał Jankiel Mozelman, A. Głogowski prowadził swój interes przy ul. Narutowicza 31, F. Cukier przy ul. Kilińskiego 41. To tylko kilka adresów, które wyszperałem z bogatej rubryki branżowej „Księgi Adresowej miasta Łodzi i woj. łódzkiego”, rocznik 1937—1939.

### LOU, CZY ZNASZ PALACE HOTEL?

Hotele były źródłem natchnienia autorów piosenek. Ale nie te łódzkie. Dla większego efektu tekściarze sięgali po cudzoziemskie nazwy. To fascynowało, przydawało tym love stories dla ubogich czaruj, przenosiło marzeniami do egzotycznych krajów. Imiona bohaterek też brzmiały fascynująco...

Lou, czy znasz Palace Hotel?  
To mych wycieczek nocnych zwykły cel,  
Tam każdy zna mnie  
I dla mnie

Uśmiechów śle moc,  
Bo ja tam bywam co dzień i co noc.  
Portier mówi mi „Pardon”  
I po napiwek dłoń wyciąga swą,  
Pokojówka czyni gest:  
„Pokój gotów jest,  
Proszę wejść do środka!”

Owa piękność o imieniu „Lou” zdobyła taką popularność, że pojawiła się i w innym szlagerze, też z hotelem w roli głównej:

Raz w hotelu Imperial  
Byłem razem z piękną Lou,  
Tam w hotelu Imperial  
Jam z nią tańczył wprost bez tchu...

Do dziś pozostałem wierny hotelom. Po przybyciu do innego miasta czy kraju — tam kieruję pierwsze kroki. Tylko jeden raz zrobiłem wyjątek i gorzko tego pożałowałem...

W latach siedemdziesiątych pojechałem z żoną samochodem do Bułgarii. Po drodze, chcąc zaoszczędzić kosztów, zatrzymaliśmy się w namiocie campingowym na Węgrzech. Nie mogłem zmrużyć oka: atakowały nas roje komarów i rozkrzyczane towarzystwo. A gdy wreszcie znużony zasnąłem nad ranem, przyśnił mi się, jak na urągowisko, luksusowy hotel, miękkie łóżko, puszysty dywan, łazienka... Rano, niewyspany, przyrzekłem sobie, że już nigdy więcej moja noga nie postanie na campingu. Nie ma sensu oszczędzać na swoim zdrowiu. Toteż po przybyciu do Bukaresztu wynajmąłem luksusowy pokój w eleganckim hotelu. I co powiecie? W nocy przyśnił mi się... obskurny namiot na rozkrzyczanym, pełnym robactwa campingu!

Tak, tak, burzuje i proletariusze zawsze miewali różne sny...

ADAM OCHOCKI

## Co przeżyli mieszkańcy Łodzi w gorących dniach kampanii wrześniowej 1939 roku?

Artykuł ten jest oparty na książce łódzkiego historyka Władysława Bortnowskiego pt. „Na tropach łódzkiego września w której autor, w interesujący sposób, omawia zarówno działania Armii „Łódź” jak i wydarzenia w życiu miasta. Wybrałem z niej najbardziej

znaczące zmiany zachodzące w życiu mieszkańców naszego miasta, w miarę rozwoju wypadków wojennych. Pominąłem natomiast krytyczne omówienie działalności gen. J. Rómmla, jako dowódcy Armii „Łódź”. Sprawy te autor artykułu omawia w obszerniejszym opra-



cowaniu pt. „Na szlakach Kampanii Wrześniowej 1939 r. w regionie łódzkim”. Znajduje się ono, nieopublikowane, w Zarządzie Wojewódzkim PTTK w Łodzi do użytku rajdów, urządzanych na terenach walk wrześniowych. Wykorzystano tu również książkę gen. J. Rómmla pt. „Za honor i ojczyznę”.

W Łodzi znajdowało się Dowództwo Okręgu Korpusu Nr IV pod dowództwem gen. Wiktora Thommée. W Regnach koło Łodzi mieściła się Główna Składnica Uzbrojenia i Amunicji. Druga składnica była w lesie Gałkówek. W Łodzi również utworzono ośrodek zaopatrzenia dla Armii „Łódź” i Armii „Poznań”. Wreszcie w Łodzi znajdowała się składnica materiałów pędnych oraz magazyny mundurowe i żywnościowe.

Kwaterę dowództwa Armii „Łódź” ulokowano w Łodzi, w dawnym pałacu Heinza, w otoczonym murem Parku Julianowskim. Stąd gen. Rómmel kierował walkami do dnia 6 września.

W regionie łódzkim Niemcy stanowili wprawdzie tylko 7,5% ludności, ale znacznie ich było większe, gdyż w przemyśle stanowili warstwę kierowniczą, a na wsi byli to bogaci chłopci. Wśród nich najliczniejszą partią polityczną była Jung Deutsche Partei, powiązana z NSDAP. Toteż gdy przyszły dni walki Niemcy cywilni dywersanci atakowali polskie wojska wielokrotnie.

Łódzka prasa głosiła tanią propagandę optymizmu, mimo widocznie rosnącego zagrożenia ze strony Hitlera. Społeczeństwo natomiast okazywało zrozumienie zagrożenia, co się uwidoczniło w masowym poparciu pożyczki na cele uzbrojenia. Z okazji różnych rocznic odbywały się masowe demonstracje pod hasłem przeciwstawienia się agresji. Od maja 1939 r. rozwinął się samorzutny bojkot towarów niemieckich. Niemieccy przedsiębiorcy zwalniali z pracy Polaków przy byle okazji.

Poborowi i rezerwiści 10 i 28 DP rekrutowali się z województwa warszawskiego i łódzkiego. Do kopania rowów przeciwlotniczych było nadspodziewanie dużo chętnych. Niektórzy sklepikarze, zwłaszcza na peryferiach, dostarczali bezpłatnie kopiącym napoi chłodzących i słodczy. Niemcy nie brali udziału w kopaniu rowów za wyjątkiem członków Deutsche Sozialistische Arbeiter Partei.

Wobec panującego głodu informacji, posiadacze radioodbiorników wystawiali głośniki w oknach, gazety były rozchwytywane, ku radości chłopaków — gazeciarzy.

1.IX. godz. 6 rano pierwszy alarm przeciwlotniczy. Niemcy przelecieli nad miastem, ale bomby zrzucili na składnicę amunicji w GałkóWKU z małym skutkiem. Dopiero o godz. 8 Polskie radio powiadomiło o wojnie.

W Łodzi, Tomaszowie i Konstantynowie aresztowano Niemców, szerzących panikarskie wiadomości. Policja wykryła fakt ucieczki (lub ukrycia się) działaczy partii i organizacji niemieckich. Natomiast „Volkszeitung” (organ socjalistów niemieckich) opublikował artykuł z apelem do Polaków, by nie identyfikowali stanowiska Hitlera ze stanowiskiem narodu niemieckiego.

3.IX zaczęło się bombardowanie miasta, bomby spadały w rejonie Dworca Kaliskiego a następnie na dzielnicę Widzew. Co płochliwi zaczęli nakładać maski przeciwgazowe. Uszkodzono bombami tory kolejowe do Koluszek. Obrona plot. była słaba. Podobno strącono samolot nad Julianowem.

Szerzy się plotka o ołówkach, cukierkach i zabawkach zrzucanych przez samoloty niemieckie — zawierających jakoby środki wybuchowe lub truciznę. Powstaje psychoza tropienia szpiegów lub dywersantów, dających znaki niemieckim samolotom. Mniejszość niemiecka zaszyła się w mieszkaniach. Zaczęło się od drobnego sabotażu, jak przecinanie linii telefonicznych lub rozkręcanie śrub na szynach kolejowych.

Słabość obrony plt. ośmieliła lotników niemieckich, którzy zniżali się coraz bardziej ostrzeliwując ulice i domy. Straty ludności cy-

wilnej wyniosły ok. 350 osób. Dywizjon myśliwski AŁ stracił dwie maszyny niemieckie nad Łodzią.

Wraz z dezorganizacją władz państwowych (które zaczęły się ewakuować) wzrosło znaczenie władz miejskich. Utworzono Miejski Komitet Apropowizacyjny, kontrolujący hurtownie i ceny artykułów pierwszej potrzeby. Gdy na skutek dezorganizacji transportu, rosły zapasy w dużych piekarniach wojskowych, kierowano nadmiar do Wydziału Opieki Społecznej i do PCK na dożywianie uciekinierów. Szpitale wypełniały się transportami rannych, a część transportów kierowano za Wisłę.

5.IX wzmagą się akcja sabotażowa Niemców. Bombardowanie zniszczyło urządzenia lotniska Lublinek. Bombardowano też składnice w Regnach i GałkóWKU. Z rozbitych oddziałów AŁ napływają grupki żołnierzy i maruderów.

Władze wojewódzkie i wojskowe opuszczają miasto. Zabierają nawet karetki pogotowia ratunkowego, straż ogniową i policję państwową. Wywołuje to panikę i masową ucieczkę ludności. Młodzież nie przyjęta do wojska wyrusza na wschód, spodziewając się przyjęcia do szeregów za Wisłą.

W ośrodku zaopatrzenia AŁ i A „Poznań” zostają potężne zapasy żywności nie odebranej z braku środków transportu. W nocy z 5 na 6.IX zapasy dla 13 DP zostały wydane. Przekazano ponad 100 000 porcji chleba dla uciekinierów i ludności, ale też zniszczono część żywności, zamiast ją rozdać ludziom i szpitalom.

Mimo posiadanych wielkich zapasów i wciąż trwającego przemarszu wojsk, potrzebujących zaopatrzenia, personel składnicy wojskowej ewakuuje się 6.IX rano. Opiekę nad składnicą obejmują drużyny Kobiecego Przysposobienia Wojskowego. W dniach 6 i 7.IX wzorowo zaopatrzyły one przechodzące przez Łódź oddziały.

Ostatnie chwile sztabu AŁ na Julianowie rano 6.IX tak opisuje gen. Rómmel — „Zbudzili mnie adiutanci. Usłyszałem wtedy ogłuszające wybuchy bomb i wycie pikujących samolotów. Odesłałem adiutantów polecając by schronili się do rowów. Płk dypl. Zdzisław Chrzastowski, który wszedł razem z nami, rozkazu nie usłuchał i uparł się, że wyjdziemy razem. Raptem cały budynek zachwiał się, a ja straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem płk Chrzastowski okrzyknął mnie swym pasem, włókł przez zasypaną gruzem podłogę. Byłem pokrwawiony bo kawałki gruzu z sufitu runęły na mnie. Wybiegliśmy do ogrodu. Usłyszałem świst bomb i padłem na ziemię,

rozległa się ogłuszająca detonacja, podmuch był tak silny, że mój mundur na ramionach był kompletnie poszarpany. Kiedy nalot ustał nie dostrzegłem nigdzie płk Chrzastowskiego. Tam gdzie ostatnio byliśmy razem czerniał olbrzymi lej od 500 kg bomby, obramowany wałem ok. metrowej wysokości. Zaczęłem rozgrzebywać ziemię wyrzuconą przez wybuch. Wkrótce znalazłem jego ciało. Zginął sam ratując mnie od śmierci. Inny skryłby się zgodnie z moim rozkazem, ale on uważał za swój żołnierski obowiązek ratować swego dowódcę”.

Centrala telefoniczna sztabu uległa zniszczeniu. Wobec rozkazu Naczelnego Wodza do odwrotu za Wisłę, sztab AŁ zostaje przeniesiony do Mszczonowa. Aby powiadomić o tym oddziały AŁ na miejscu zostaje pozostawiony posterunek żandarmerii z zadaniem informowania. Po paru godzinach żandarmi ci ulotnili się i łącznicy przybywający do sztabu nie mogli się dowiedzieć gdzie jest sztab. Z tą chwilą dowódca AŁ praktycznie stracił możliwość kierowania armią. Próby nawiązania łączności przez pocztową sieć telefoniczną nie dały wyniku. Gdziekolwiek uzyskano połączenie, tam już nie było naszych wojsk.

6 i 7.IX lotnictwo niemieckie dokonuje masakry uchodźców na szosie w kierunku Brzezin i Rawy Maz.

Wobec opuszczenia miasta przez władze państwowe powstaje Komitet Obywatelski Miasta Łodzi, z inicjatywy prof. Zygmunta Lorentza. Przewodniczący biskup dr K. Tomczak, członkowie: K. Bajer, St. Ender, A. Kindermann, E. Krasuski, A. Remieszewski, W. Grałiński, O. John i Z. Lorentz. W składzie byli przeważnie przemysłowcy. Ludność poparła Komitet.

7.IX gen. Thommée przyjechał do Łodzi celem skontaktowania się z dowództwem AŁ. W zbombardowanej siedzibie armii nie zastał pozostawionych tam przez gen. Rómmla żandarmów. Nie uzyskawszy informacji o aktualnym miejscu postoju sztabu, zaczął na własną rękę skupiać rozproszone oddziały AŁ.

7.IX przeszła przez Łódź 2 DP. Polska ludność żegnała wojsko, tworząc szpalery i obdarowując żołnierzy żywnością, papierosami itp., Wojsko było wyczerpane, ale serdeczny stosunek ludności podniósł żołnierzy na duchu. Kobiece Przysposobienie Wojskowe wydało obfite zapasy ze składnicy wojskowej.

W okolicy ulicy Piotrkowskiej grupa starych robotników i robotnic uściskała i obdarowała czym mogła jakiś mały przemęczony oddziałek, a przy jego odejściu odśpiewała Czerwony Sztandar. Pożegnała Łódź swoich żołnierzy na długich pięć lat.

Mimo odejścia wojsk polskich Niemcy nie weszli tego dnia do miasta, wysłali tylko zmotywowane patrole na przedmieścia. Komitet Obywatelski wysłał po południu 8.IX swych przedstawicieli do dowódcy niemieckiej 17 DP, poddając miasto. Następnego dnia rano wkroczył do Łodzi jeden pp i dowódca XII Korpusu gen. Weichs.

Miejscowi Niemcy wylegli na ulicę wrzeszcząc: „Heil Hitler!” Kupcy niemieccy urządzili gdzieś stoiska ze słodyczami i papierosami dla żołnierzy. Polacy i Żydzi pozostali w domach. Władze niemieckie ustanowiły Wojskową Komendę miasta i obsadziły obiekty wojskowe.

Wojskowy Komendant Łodzi wydał odezwę do ludności, w której m.in. czytaliśmy: „Niemiecka zbrojna moc nie uważa obywateli za wrogów. Wszelkie prawa międzynarodowe będą przestrzegane. Porzucenie pracy jest wzbronione. Opór bierny i sabotaż uważane będą za wrogą działalność wobec armii niemieckiej”.

W ciągu pierwszych dni ingerencja wojska w sprawę miasta nie sięgała zbyt daleko. Tolerowano Komitet Obywatelski. Zaczęła się bowiem bitwa nad Bzurą i Niemcy niepewni dalszych losów Łodzi „siedzieli na walizkach”, szykując się do ucieczki.

7.IX zmontowano aparat wykonawczy Komitetu. Sprawy porządku i bezpieczeństwa przeszły w ręce Milicji Obywatelskiej, która jako organizacja do walki z lichwą rozpoczęła działalność już 27 sierpnia. Komitet Obywatelski stanowił władzę nadrzędną MO. Milicjanci pełnili służbę honorowo. Początkowo byli w niej również ochotnicy Żydzi ale 11.IX Komendant Miasta zarządził zwolnienia wszystkich milicjantów niaryjskiego pochodzenia.

Już 10.IX wyrostki hitlerowskie zaczęły brutalne prowokacje wobec Żydów i Polaków. Złapanym Żydom kazali rękami zasypywać rowy przeciwnicze. Na skutek interwencji Komitetu Obywatelskiego Komenda Miasta ukroiła te bestialstwa, ale tylko na parę dni. Zaczęły się policyjne łapanki do robót publicznych.

W Woli Błędowskiej już 6.IX. pod pretekstem, że mieszkańcy wsi strzelali do żołnierzy

niemieckich wywleczono z zagród 5 gospodarzy i rozstrzelano. Później Niemcy zamordowali 31 mieszkańców wsi **Koźle, Ciołek, Sadówka i Bratoszewice**. Pretekstu do egzekucji dostarczyły błakające się oddziały polskich żołnierzy, którzy usiłowali się wydostać z okrążenia, a od mieszkańców w/w wsi uzyskali żywność. I tak Wehrmacht swoimi zbrodniami wszędzie wyprzedzał zbrodnie niemieckiej policji.

### MIEJSCA PAMIĘCI W ŁODZI

Park Julianów — obelisk ku czci żołnierzy poległych przy zbombardowaniu sztabu AŁ 6.IX.

Cmentarz na Radogoszczu — wspólna mogiła poległych 6.IX.

Cmentarz na Mani — mogiły żołnierzy Września i pomnik.

Cmentarz w Łagiewnikach — grób działaczy Pol. Związku Zachodniego (z Poznania) zamordowanych przez Wehrmacht we wrześniu 1939.

KAZIMIERZ HEMPEL

#### 10 DYWIZJA PIECHOTY



28 PULK  
„STRZELCÓW  
KANIOWSKICH”



30 PULK  
„STRZELCÓW  
KANIOWSKICH”



31 PULK  
„STRZELCÓW  
KANIOWSKICH”

## W cieniu tumskiej kolegiaty



WIDOK KOLEGIATY OD STRONY WSCHODNIEJ

repr. B. Kaczyńska

(Tum — 9 września 1939 r.)

W tym roku mija pięćdziesiąt lat od wybuchu drugiej wojny światowej. Każda rocznica tragicznego września skłania do refleksji. Wojną kosztowała nas Polaków ponad sześć milionów istnień ludzkich, ślady cierpień i tragedii można odnaleźć w każdym polskim mieście, na każdym polskim cmentarzu. Ta wojna znaczyła się niespotykanymi w naszych dziejach zniszczeniami, tak materialnymi jak i kulturalnymi. Legły w gruzach nasze miasta, utraciliśmy bezpowrotnie tysiące zabytków naszej kultury. Ograbione zostały nasze muzea i kościoły. Jakże często opisując zabytkowe budowle musimy mówić o benedyktyńskim trudzie powojennej odbudowy i rekonstrukcji.

Wojna nie oszczędziła zabytku numer jeden naszego regionu — romańskiej kolegiaty w Tumie.

Ta dwunastowieczna świątynia na przestrzeni dziejów przechodziła różne koleje lo-

su. W XIII i XIV stuleciu była oblegana przez Tatarów, Litwinów i Krzyżaków. W roku 1293 zdobyli i spalili ją Litwini. Dwukrotnie (1473, 1705) dotknęła ją klęska groźnych pożarów.

Informacje o tym jak doszło do zniszczenia w roku 1939 są bardziej niż skąpe. — A to kilka z nich:

— „We wrześniu 1939 kościół uległ pożarowi” (WKKFT Łódź — Województwo Łódzkie — Przewodnik — Wyd. Sport i Turystyka 1972 — str. 113)

— „W czasie bitwy nad Bzurą w roku 1939 kościół został zbombardowany, a jego wnętrze wypaliło się”

(J. Dylik, Z. Dylik, R. Kaczmarek — Województwo Łódzkie — Przewodnik Turystyczny — Wyd. S i T. 1954 — str. 128)

— „Kolegiata romańska z 1140—61, zbombardowana i spalona 1939”

(Przewodnik po Polsce — Prac. zb. — Wyd. IV — S. i T. 1976 — str. 149)

— „Spalony (kościół — przyp. jz.) w 1945” (?)

- (Mały Przewodnik po Polsce — prac. zb. — Wyd. III S. i T. 1983 — str. 301)
- „W czasie działań wojennych w 1939 r. kolegiata została zniszczona” (Jadwiga Grodzka — Łęczyca i okolice — Wyd. Łódzkie 1972 — str. 19)
  - „Podczas działań wojennych w 1939 r. obiekt został poważnie uszkodzony” (J.B. Nycek — Województwo płockie — Vademecum turystyczne Krajowa Agencja Wyd. 1979 — str. 75)

Na podstawie powyższych danych trudno odpowiedzieć na pytanie — kiedy i w jakim stopniu zniszczona została zabytkowa świątynia?

Jak zatem do tego doszło?

Pierwsze dni września 1939 r. — Armia „Poznań” wycofuje się z Wielkopolski. Jej dowódca gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że bez walki nie doprowadzi swoich żołnierzy do stolicy. Dobrze wie, iż odwrót czterech dywizji piechoty i dwóch brygad kawalerii nie może być szybki. Wszystkie drogi prowadzące w kierunku wschodnim są niemal całkowicie zablokowane przez tysięczne rzesze ludności cywilnej uciekającej przed hitlerowskim najeźdźcą, a polskie niebo opanowane przez nieprzyjacielskie lotnictwo.

Na południu od armii poznańskiej — również w kierunku Warszawy uderza niemiecka ósma armia gen. von Blaskowitza. Ta armia osłania lewe skrzydło głównej niemieckiej siły uderzeniowej — dziesiątej armii, której dowódca gen. Reichenau otrzymał rozkaz błyskawicznego zdobycia Warszawy. Pod naporem ósmej armii „Armia Łódź” zmuszona jest dnia 5 września opuścić zasadniczą linię obrony nad Wartą i Widawką.

W dniu 8 września:

- XVI Korpus Pancerny 10 armii znajduje się już pod Warszawą
- 8 armia kontynuuje pościg za rozbitą „Armią Łódź”, poszczególne jej dywizje znajdują się w rejonie Łodzi, i obsadzają południowy brzeg Bzury od Łęczycy do Łowicza
- „Armia Poznań” dopiero zbliża się do rejonu na północ od Łęczycy

Równocześnie od strony Włocławka w kierunku Warszawy wycofuje się „Armia Pomorze”. Z jej dowódcą gen. dyw. Władysławem Bortnowskim gen. Kutrzeba utrzymuje stały kontakt. Obydwie polskie armie są już — w swej

drodze do Warszawy — wyprzedzone przez armie niemieckie. Gen. Kutrzeba słusznie zakłada, że za kilka dni dwie polskie armie — bezpośrednio w rejonie Warszawy — natkną się na główne siły niemieckie bez możliwości przeprowadzenia głębszego manewru i bez szansy przedarcia się do stolicy. Należy zatem uderzyć z północnego brzegu na lewe skrzydło 8 armii. Gen. Kutrzeba chce rozbić lewe skrzydło niemieckiej armii, aby umożliwić „Armii Pomorze” przemarsz w kierunku Warszawy, a następnie poprowadzić do stolicy swoich żołnierzy. W przypadku gdyby uderzenie „Armii Poznań” nie przyniosło należytego sukcesu, do walki włączyłaby się również „Armia Pomorze”, oddalona od wojska poznańskiego o 2—3 dni marszu.

Plan gen. Kutrzeby zostaje zaakceptowany przez Naczelne Dowództwo.

W dniu 9 września:

- Czołgi XVI Korpusu Pancernego szturmują Warszawę
- 8 armia wkracza do Łodzi
- „Armia Poznań” rozpoczyna manewr ofensywny w kierunku południowym

Gen. Kutrzeba rzuca do walki niemal całą swoją armię. Tworzy „Grupę Operacyjną” w składzie trzech dywizji piechoty. Na lewym (wschodnim) skrzydle 14 Poznańska Dywizja (d-ca gen. bryg. Franciszek Wład) ma w rejonie Siemienic i Młogoszyna przekroczyć Bzurę, zdobyć Piątek i dalej uderzyć w kierunku Strykowa. W centrum 17 Gnieźnieńska Dywizja (płk. dypl. Mieczysław Mozdyniewicz) winna z rejonu na południe od Witoni sforsować Bzurę, zająć Górę Św. Małgorzaty, następnie ruszyć w kierunku Małachowic i Modlonej. Na prawym (zachodnim) skrzydle 25-tej Kaliskiej Dywizji (gen. bryg. Franciszek Alter) postawione zostaje trudne zadanie zdobycia silnie obsadzonej przez Niemców Łęczycy. Po zdobyciu tego miasta dywizja ma atakować w kierunku Ozorkowa. Na czele „Grupy Operacyjnej” postawiony zostaje gen. bryg. Edmund Knoll-Kowacki („Grupa Operacyjna Gen. Knolla”). Wschodnie skrzydło G.O. zostaje ubezpieczone przez Wielkopolską Brygadę Kawalerii (gen. bryg. Roman Abraham). Brygada ma przekroczyć Bzurę w rejonie Soboty i uderzyć na Głowno. Ubezpieczająca zachodnie skrzydło Grupa Kawalerii gen. bryg. Stanisława Grzmot-Skotnickiego (Podolska Brygada Kawalerii oraz resztki Pomorskiej Brygady Kawalerii) miała za zadanie uderzyć przez

Wartowice na Parzęczew dla oskrzydlenia Ozorkowa.

W odwodzie pozostała gen. Kutrzebie jedynie 26 Skierniewicka Dywizja (płk. dypl. Adam Brzechwa Ajdukiewicz).

Początek uderzenia zaplanowany został na godziny przedwieczorne dziewiątego września.

Należało jednak uprzednio rozpoznać niemieckie stanowiska ogniowe w Łęczycy. W tym celu o godzinie dziesiątej rozpoczęło się natarcie rozpoznawcze z Topoli Królewskiej na Łęczycę. Wykonał je 2 batalion 69 p.p. (69 p.p. na czas ataku na Łęczycę wydzielony został ze składu 17 D.P. i oddany do dyspozycji D-cy 25 D.P.). — Szeroki pas bagien i kanał Bzura-Ner stanowiły wielkie utrudnienie dla atakujących miasto od strony północnej. 6 Kompania (2 batalionu) natarła wzdłuż toru kolejowego (Kutno—Łódź), 4 Kompania wzdłuż szosy (Włocławek—Łódź), 5 Kompania na wschód od szosy. Natarciem rozpoznawczym dowodził d-ca 2 Batalionu mjr Antoni Chudzikiewicz.

6 i 4 kompanie krótko po wyruszeniu wpadły pod silny ogień broni maszynowej i artylerii ponosząc ciężkie straty. Na rozkaz d-cy batalionu obydwie kompanie wycofały się do Topoli tracąc łączność z lewoskrzydłową 5 Kompanią. Porażka batalionu była oczywista, ale jeden oczekiwany efekt został osiągnięty. Obserwatorzy z wieży kościoła w Siedlcu zdołali ustalić stanowiska artylerii niemieckiej.

Zupełnie inaczej przebiegało natarcie rozpoznawcze 5 Kompanii. Okazało się, że na wschód od szosy można było przedostać się — korzystając z informacji miejscowej ludności — stosunkowo łatwo przez łączyckie mokradła. Ostrzał artyleryjski wzniecił ogromne tumany kurzu na szosie. Były one zbawczą osłoną dla 5 Kompanii, która pokonała rzekę w bród. Następnie wyschniętymi rowami żołnierze dotarli do drogi Łęczyca — Piątek w rejonie Kwiatówka. Jedynym plutonem z 2 cekaemami obsadzone zostało rozwidlenie drogi prowadzącej w stronę tumskiej kolegiaty, po czym reszta kompanii weszła do Tumu.

Pluton obsadzający drogę zniszczył w krótkim czasie po zajęciu stanowiska niemiecką kolumnę składającą się z kilku samochodów.

Płk. Wittke, d-ca niem. 46 pp stojącego w Łęczycy, przekazał o godz. 13.40 dowódcy 30 D.P. generałowi Briesenowi pomyślny meldunek o ostatecznym odparciu ataku niezidentyfikowanych polskich oddziałów od strony Topoli (do ostatniej chwili Niemcy nie mieli pojęcia, że na północnym brzegu Bzury znajduje się cała „Armia Poznań”). Kolejny meldunek, jaki po pewnym czasie otrzymuje gen. von Briesen wywołuje konsternację w sztabie 30

D.P.: Połączenie między Łęczycą a Piątkiem przerwane, Tum zajęty przez Polaków, Łęczyca oskrzydłona od wschodu!

Płk Wittke rozkazuje 1 Batalionowi 46 pp wykonać przeciwnatarcie na Tum dla wyrzucenia Polaków za Bzurę. O godz. 16.30 rusza niemieckie natarcie. Po godzinie Niemcy wykorzystując swoją przewagę wdzierają się do zachodniej części Tumu. Polacy cofają się do wschodniej części miejscowości. Stawiają przeciwnikowi zacięty opór, walcząc o każdy dom.

Nadchodzi jednak pora polskiego ataku. O godz. 17.30 jednostki 25 Dywizji ruszają na Łęczycę. Na lewym (wschodnim) skrzydle 1 Batalion 56 Krotoszyńskiego p.p. forsuje Bzurę pod Marynkami, dociera do wschodniej części Tumu niosąc pomoc broniącej się dalej 5 Kompanii 69 pp. Teraz Polacy ruszają do ataku. We wsi trwa nieubłagana walka. Wieże kolegiaty stanowią dla Niemców doskonały punkt obserwacyjny. Mają stąd doskonałe rozeznanie całości walki w Tumie, a ponadto kierowany stąd ogień artyleryjski mocno daje się we znaki nacierającym żołnierzom z Topoli na Łęczycę. Niemiecki punkt obserwacyjny zostaje wykryty, a 2 bateria 7 pułku artylerii ciężkiej ze swojego stanowiska w Topoli otwiera ogień w stronę kolegiaty. Północna wieża zostaje trafiona, a wkrótce potem cała kolegiata staje w płomieniach.

D-ca 2 baterii 7 pac ppor. Czesław Szczepaniak w swych wspomnieniach napisze potem: „... prowadzimy intensywną obserwację w wyniku której wykrywamy gniazdo obserwatorów artyleryjskich na wieży kościoła Tum, położonego na wschód od Łęczycy. Mimo dużego kąta obserwacji i dalekiej nośności otwieramy natychmiast ogień. Trzynastym pociskiem III działa trafiamy wieżę, niszcząc ją wraz z obserwatorami i masą ich sprzętu optyczno-mierniczego i zbrojeniowego. Teraz dopiero artyleria wroga umilkła, a piechota własna po raz trzeci wyruszyła do natarcia. Wspierana tym razem już ogniem całej artylerii dywizyjnej, bezpiecznie poszła naprzód, zajmując Łęczycę...”

Również dzień 9 września pozostał na trwałe w pamięci por. Czesława Ławniczaka, który pełnił funkcję szefa w baterii ppor. Szczepaniaka:

„... Dowódca nasz ppor. Czesław Szczepaniak wskazuje stanowisko dział w folwarku Topola ... Kanonierzy, zmęczeni odwrotem przez dziewięć prawie dni nareszcie zaczęli strzelać do wroga... Pada komenda — I, II i III działo powiększyć kwadrat. Nie pamiętam już ile stopni. W każdym razie strzelaliśmy na dalszą odległość. Telefonista woła: „Wieża koś-

ciola trafiona!" Trafilo III działo. Jak się później okazało, na wieży tej obserwatorzy wroga kierowali ogniem w nasze wojska. W dniu 10 września robimy skok z naszą baterią do Łęczycy. I tu wielka radość. Ludność miast witała nas gorąco, częstowali nas czym tylko mogli, aby nam okazać wdzięczność.... Podjeżdżamy do starego kościoła za miastem — w kierunku na Piątek — wieś Tum. Dzisiaj wiemy, to stary zabytkowy kościół. Wieża północna zniszczona. Masa sprzętu optycznego wroga. Z opowiadań tamtejszej ludności wynikało, że Niemcy... z wieży kościoła... kierowali ogniem swoich baterii w kierunku Topoli..."

W blasku płonącej kolegiaty trwała w Tumie mordercza walka. Ppor. rez. Eugeniusz Leszczyński, oficer 3 Kompanii 1 Batalionu 56 p.p. wspomina:

„... Nasz 1 Batalion dalej bije się o Tum. Nieprzyjaciel coraz więcej zasila oddziałami własną obronę. Palą się Tum, palą się stara fara z XII wieku. Przedpole silnie jest oświetlone rakietami nieprzyjaciela. Druga kompania wdzierą się do wsi i okrzykiem „hurra!” porywa cały batalion do szturm. Odbywa się straszna walka na bagnety, w której wyższość wykazują polscy żołnierze, a Niemcy morderczego uderzenia nie wytrzymują i zaczynają się wycofywać...”

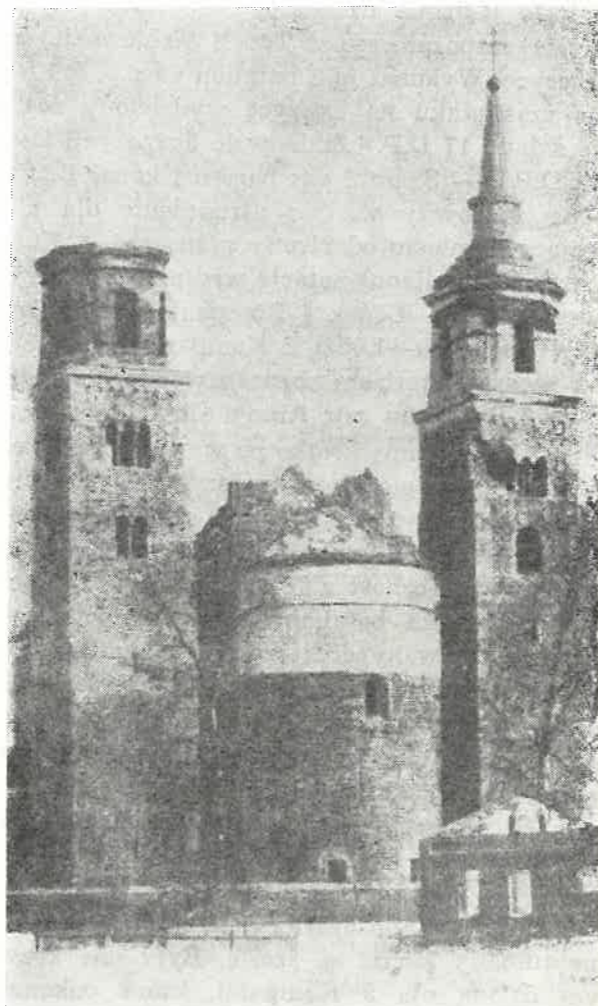
Po kilkugodzinnej walce, późną już nocą, Niemcy zostali wyparci z Tumu. I tak to w pierwszych godzinach Bitwy nad Bzurą zniszczony został wspaniały pawilon naszego budownictwa romańskiego.

Pożar strawił wnętrze kolegiaty, dach, strop nad nawą główną i północną wieżę. Przez cały czas okupacji kościół pozostaje w gruzach, a okupant nie zezwala nawet na jego doraźne zabezpieczenie.

Dopiero po zakończeniu wojny wykonano prace zabezpieczające, a następnie przystąpiono do odbudowy. W roku 1961 nastąpiło zakończenie zasadniczych prac konserwatorskich, co zbiegło się równocześnie z 800-leciem konsekracji kolegiaty.

Na cmentarzu w Tumie mogiły 124 żołnierzy „Armii Poznań” przypominają o wydarzeniach z 9 września 1939 roku. Walczyli w blasku płonącej kolegiaty, spoczywają wiecznym snem w cieniu tumskich wież.

JERZY ZIELIŃSKI



WIDOK KOLEGIATY TUMSKIEJ OD STRONY ZACHODNIEJ repr. B. Kaczyńska

#### Bibliografia:

- P. Bauer, B. Polak „Armia Poznań 1939”. Wyd. Poznańskie 1983
- L. Głowacki „17 Wielkopolska Dywizja Piechoty w kampanii 1939”. Wyd. Lubelskie 1969
- T. Jura „Bzura 1939”. Wyd. Min. O.N. 1984

## Pałac ZW PTTK w Łodzi zaprasza



PREZES ZG PTTK ANDRZEJ GORDON PRZECINA WSTĘGĘ PODCZAS OTWARCIA CENTRUM PRACY AKTYWU SPOŁECZNEGO

fol. B. Bazyliński

### PAŁAC ZW PTTK W ŁODZI ZAPRASZA

23 maja 1989 r. w bardzo ładnie odrestaurowanym pałacu pofabrykanckim, przy ulicy Wigury 12a zostało otwarte Centrum Pracy Aktywu Społecznego PTTK w Łodzi.

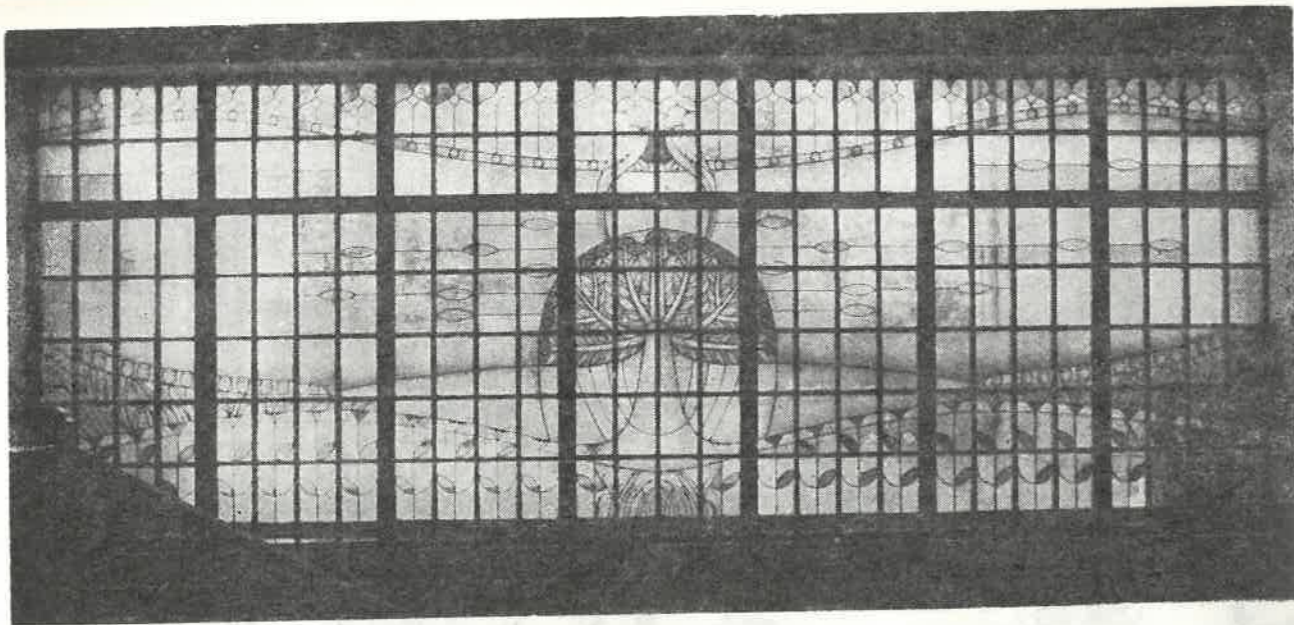
W uroczystości, która zgromadziła liczne grono turystów i krajoznawców, uczestniczyli również przedstawiciele władz miasta: Elżbieta Wójcikowska-Ociepa — sekretarz KŁ PZPR, Janusz Markiewicz — Naczelnik dzielnicy Łódź-Śródmieście, Janina Duda — sekretarz KD PZPR Łódź-Śródmieście, Henryk Grenda — dyrektor Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Miasta Łodzi; przedstawiciele ZG PTTK: Andrzej Gordon — prezes ZG, Halina Mankiewicz — sekretarz, Tadeusz Rycerski — obecny przewodniczący Komisji Krajoznawczej i jednocześnie prezes ZG jednej z poprzednich kadencji, Franciszek Mi-

dura — przewodniczący Komisji Opieki nad Zabytkami ZG, a także Władysław Stendera — prezes ZW PTTK w woj. nowosądeckim, Edward Feński — wicedyrektor BTZ PTTK.

Adam Chyżewski — prezes ZW PTTK w Łodzi w swoim przemówieniu powiedział między innymi:

„...Późną jesienią 1985 roku, kiedy Zarząd Wojewódzki PTTK rozpoczął pierwsze prace remontowe — polegające na remoncie dachu i przerwaniu dewastacji budynku — tylko najwięksi optymiści wierzyli w zakończenie remontu kapitalnego w ciągu niespełna 4 lat.

Porównanie zdjęć przedstawiających stan budynku przed remontem — a znajdują się one w sąsiedniej sali — ze stanem dzisiejszym nie oddaje w pełni ogromu prac konstrukcyjnych, instalacyjnych czy stolarskich, jakie zostały wykonane. W prawie połowie pomieszczeń wymieniono stropy i podłogi, w pozostałych wzmocniono końcówki belek stropowych, usunięto bezmyślne zamalowanie farba-



WITRAŻ W PALACU ZW PTTK W ŁODZI

fol. B. Bazyliński

mi olejnymi szlachetnych gatunków drewna i uzupełniono jego braki, uzupełniono i odtworzono ubytki w sztukateriach ścian i sufitów często na podstawie małych fragmentów, wykonano nieistniejące przedtem zejście do piwnicy, same piwnice przygotowano do urządzenia w nich stylowej kawiarni, dokonano zaminowania fundamentów, uporządkowano ogród, wykonano nowe ogrodzenie terenu. Prace te były dodatkowo utrudnione przez fakt, że od czerwca 1986 roku w części pomieszczeń musiał znaleźć swoje lokum Zarząd Wojewódzki pozbawiony dotychczasowej siedziby przy ulicy Piotrkowskiej.

Kilkusobowe biuro tego Zarządu — obok wypełniania swoich normalnych obowiązków wynikających ze Statutu Towarzystwa — pełniło rolę inwestora bezpośredniego remontu. Prace odbywały się bez generalnego wykonawcy inwestycji, więc na inwestora spadły wszystkie obowiązki wynikające z koordynacji działań wielu różnych ekip rzemieślniczych oraz pełnienie funkcji zaopatrzeniowych.

Żadne ze słów podziękowania, których można tutaj użyć, nie będą współmierne do ogromu poświęcenia i bezinteresowności tych kilku osób.

Współdziałanie z nimi wielu społecznych działaczy, głównie z prezydium ZW może być wzorem nie tylko dla Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Gożąco i serdecznie dziękuję władzom miasta za życzliwość i pomoc, nie wyłącznie finansową. Znając od lat troskę tych władz o zachowanie świadków stosunkowo krótkiej ale pięknej historii Łodzi mogliśmy się tej po-

mocy spodziewać — rzeczywistość przekroczyła jednak znacznie nasze oczekiwania. Ludzie z którymi zetknęliśmy się w tych sprawach stanowili żywe zaprzeczenie obiegowej opinii o niemocy urzędowej.

Dzisiaj nieoczekiwanie odbywa się w Łodzi wyjazdowe posiedzenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, które zabrało nam znaczną część spodziewanych gości. Żałujemy niezmiernie, że nie możemy mieć ich wśród nas. Do rangi pewnego splendoru urasta jednak fakt tej jednoczesności. Dopiero bowiem dzięki inicjatywom i wysiłkom społecznym możliwe jest przetransponowanie choćby najlepszych strategicznie decyzji gospodarczych na osiągnięcia dające się powiązać z socjologicznym pojęciem dobrego życia.

Dziękuję Zarządowi Głównemu PTTK za podjęcie ryzyka związanego z przejęciem budynku przez Towarzystwo — dziękuję za częściowe finansowanie tej inwestycji.

Składam podziękowania dla wszystkich ludzi z Ministerstwa Kultury i Sztuki zawsze dla nas życzliwych i służących pomocą. Współpraca z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków była cały czas znacząca, życzliwa i pełna wspólnej troski o wydobywanie piękna budynku.

„Finis coronat opus” — takich słów używa się w podobnych okolicznościach. Każde z nich do dzisiejszej rzeczywistości stosuje się jednak tylko częściowo.

„Opus” — niewątpliwie budynek w obecnym kształcie jest dziełem ale nie końcowym. Takim bowiem będzie dopiero budynek tętniący życiem, wpisany trwale w świadomość członków Towarzystwa, mieszkańców

śródmiejskiej dzielnicy Łodzi — całego miasta wreszcie — i przez nich wszystkich należycie wykorzystywany.

„Finis” — dzisiaj jest koniec tylko etapu budowlanego. Napewno nie jest końcem więzi przyjaźni jakie się tutaj zawiązały w latach trudnych — ale i pięknych w swoim trudzie. Ten dzisiejszy koniec jest jednocześnie początkiem dalszych wysiłków, trosk i radości ludzi i Towarzystwa związanych z budynkiem. Ten „finis” można co najwyżej rozumieć tak, jak u Conrada, który każe „iść za marzeniem”.

REDAKCJA

## 30-lecie Towarzystwa Przyjaciół Łodzi

Ruch regionalny przybierający formy różnego rodzaju towarzystw kulturalno-społecznych rozwija się w Polsce Ludowej w sposób niemal żywiołowy. Liczba tych towarzystw z roku na rok powiększa się. Charakter ich jest bardzo różnorodny; obok organizacji niedawno powstałych są i ubiegłoroczne, niektóre wręcz sędziwe, z tradycjami walk o kulturę polską w okresie zaborów, obok małych, liczących kilkudziesięciu członków, po wielotysięczne, od potężnych, o rozległej skali działania, do lokalnych drobnych.

Zależy to od tzw. „Zamówienia społecznego” jak i w różnym stopniu od składu grona lokalnych działaczy społecznych, ich pasji działania, umiejętności organizatorskich oraz od serdecznej więzi z regionem.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi powstało 30 lat temu, należy do największych tego typu Stowarzyszeń w kraju.

Inicjatorami jego powstania w 1959 roku była grupa ludzi od dawna z miastem związanych.

Zadaniem Towarzystwa jest krzewienie miłości do Łodzi, pielęgnowanie jej tradycji, upowszechnianie wiedzy o tym mieście, jego przeszłości i pracy dnia dzisiejszego, zespalanie wysiłków społecznych, współpraca z władzami miasta w dziedzinie szeroko pojętej estetyki miasta, urbanizacji, architektury, nazewnictwa ulic i skwerów.

„Coronat” — po polsku przyjęto mówić, że „koniec wieńczy dzieło”. Niech mi wolno będzie na zakończenie przywołać nieco inny, mniej statyczny sens tego łacińskiego słowa. Pierwotnym — potem wielokrotnie zapomnianym — sensem koronacji było uczynienie osoby wyróżnionej przedstawicielem ale i sługą swojej społeczności. Ten służebny sens niech będzie dewizą przyszłych gospodarzy budynku — dla dobra wszystkich, którzy zechcą skorzystać z zaproszenia do jego gościnnych pomieszczeń”.

Inicjowanie wydawnictw artystycznych i propagandowych o Łodzi, inspirowanie ludzi sztuki i twórców do tworzenia dzieł tematycznie związanych z Łodzią.

Budzenie zainteresowania Łodzią, jako obiektem turystyki, oraz działania na rzecz krzewienia więzi międzyludzkich i międzypokoleniowych. Inicjowanie badań naukowych nad dawną i dzisiejszą Łodzią. Gromadzenie zbiorów świadczących o przeszłości Łodzi i przekazywanie ich odpowiednim muzeom łódzkim.

Organizowanie publicznych zebrań i dyskusji z władzami państwowymi, wydawanie drukiem dokumentów archiwalnych, wspomnień, albumów i innych publikacji mających na celu upowszechnienie wiedzy o dawnej i dzisiejszej Łodzi.

Rozbudzanie żywego zainteresowania przeszłością, teraźniejszością i przyszłością rodzinnego miasta wśród najszerszych rzesz młodzieży szkolnej — szkół wszystkich typów.

Rozbudzanie miłości do miasta, do jego bohaterów pracowitych obywateli — włóknarzy, robotników, świata nauki.

Przejmowanie opieki nad obiektami zabytkowymi dawnej architektury, miejscami historycznymi, pamiątkowymi w dziejach polskiego ruchu robotniczego. Miejscami walki o narodowe i społeczne wyzwolenie, martyrologii polskiej z okresu okupacji.

Wśród wielu form różnorodnych prac popularyzacyjnych TPEL można wymienić: prelekcje i odczyty na m.in. tematy: „Historia Łodzi”, „Tradycje rewolucyjne Łodzi”, „Zabytki Łodzi”, „Architektura dawnej Łodzi do końca XIX wieku”, „Tajne nauczanie w Łodzi w okresie okupacji hitlerowskiej”, „Z dziejów teatru polskiego”, „Łódzka Secesja” itp.

Wycieczki autokarowe i piesze po starej i nowej Łodzi (sobotnie) np.: „Spacerkiem po Łodzi” — dla społeczeństwa.

Z cyklu „Wieczory z Łódką w herbie” — organizuje się spotkania z ludźmi zasłużonymi dla naszego miasta, aktorami, autorami książek, architektami itp.

Upowszechnianiem wiedzy o przeszłości miasta wśród młodzieży zajmuje się Sekcja Szkolna organizując konkursy szkolne tematycznie związane z Łodzią, cykle wykładów z zakresu historii teatru, literatury współczesnej.

Przyznawanie nagród „Srebrnej Łódki” za najlepsze przedstawienie sezonu teatralnego: nagrody literackiej TPEL (co dwa lata) za etudy filmowe dla studentów Wyższej Szkoły Filmowej.

Poprzez sekcję wydawniczą opublikowano m.in. prace „Łódź w latach 1945-1960” (red. E. Rosset, Łódź 1962). „Życie społeczno-gospodarcze Łodzi i województwa łódzkiego” (red. J. Mujżel) Łódź 1964. „Śpiewnik Łódzki” — opr. Tadeusza Szewery 198... AK — Okręg Łódzki opr. Marek Budziarek — Łódź 1989. W opracowaniu monografia cmentarzy łódzkich (stary, ewangelicki, prawosławny) pod red. Tadeusza Szewery — autorem tej książki jest Zbigniew Piątko.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi od 15 lat prowadzi tzw. akcję „Bohatera Dnia Powszedniego”. Chodzi nam o to, by sylwetki obywateli naszego miasta, ludzi cichych, szlachetnych, opiekujących się niedołączonymi, kalekami, starcami, wszystkimi, którym dłoń bratnia jest potrzebna w sposób serdeczny a jednocześnie całkowicie bezinteresowny ukazy-

wać społeczeństwu, tworzyć wokół nich klimat głębokiego uznania i wdzięczności.

Ludziom takim Zarząd TPEL nadaje godność honorowego członka Towarzystwa, nazwiska ich wpisuje do Złotej Księgi z krótkim opisem, czym sobie na wdzięczność łodzian zasłużyli. Zgłaszać kandydatów mogą zarówno organizuje społeczne jak i poszczególni obywatele.

Towarzystwo współpracuje z istniejącymi na terenie Łodzi placówkami naukowymi i kulturalnymi kraju.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi jak każde Towarzystwo regionalne musi być ściśle związane ze swoim regionem i odpowiadać na potrzeby kulturalne swojego środowiska.

Specyfiką naszego miasta jest jego młodość kulturalna. Jego młodość kulturalna wynika z faktu, że jego organizm wielkomiejski istnieje dopiero od lat 100.

Niemniej to miasto, które ukształtował żyjący w niezmiernej nędzy robotnik i chciwy zysku jego eksploatator z reguły obcej narodowości, to miasto nie posiadające prawie zupełnie rodzin mieszczańskich z dawna tu osiadłych, nie mogło przejawiać poważniejszych aspiracji kulturalnych. Stąd kształtowanie lokalnego patriotyzmu i kształtowanie potrzeb kulturalnych, powinny stać się głównymi wektorami działalności towarzystwa regionalnego.

Na pewno tych „przedsięwzięć” mogło być więcej, na pewno mogły być one w niektórych wypadkach bardziej pogłębione.

Niemniej można stwierdzić, że było z naszej strony sporo dobrej woli, zapału i chęci pożytecznego służenia naszemu miastu.

Na następne 30-lecie, a kończy się ono już w wieku XXI życzymy TPEL przyciągnięcia większej liczby działaczy społecznych, niezmiennej pomocy i życzliwości władz, postawienia na trwałym i silnym fundamencie Biblioteki Przyjaciół Łodzi i wielu, wielu sukcesów.

#### TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁODZI

## Historia i współczesność stacji Łódź — Widzew



BUDYNEK STACJI ŁÓDŹ — WIDZEW

fol. M. Jerczyński

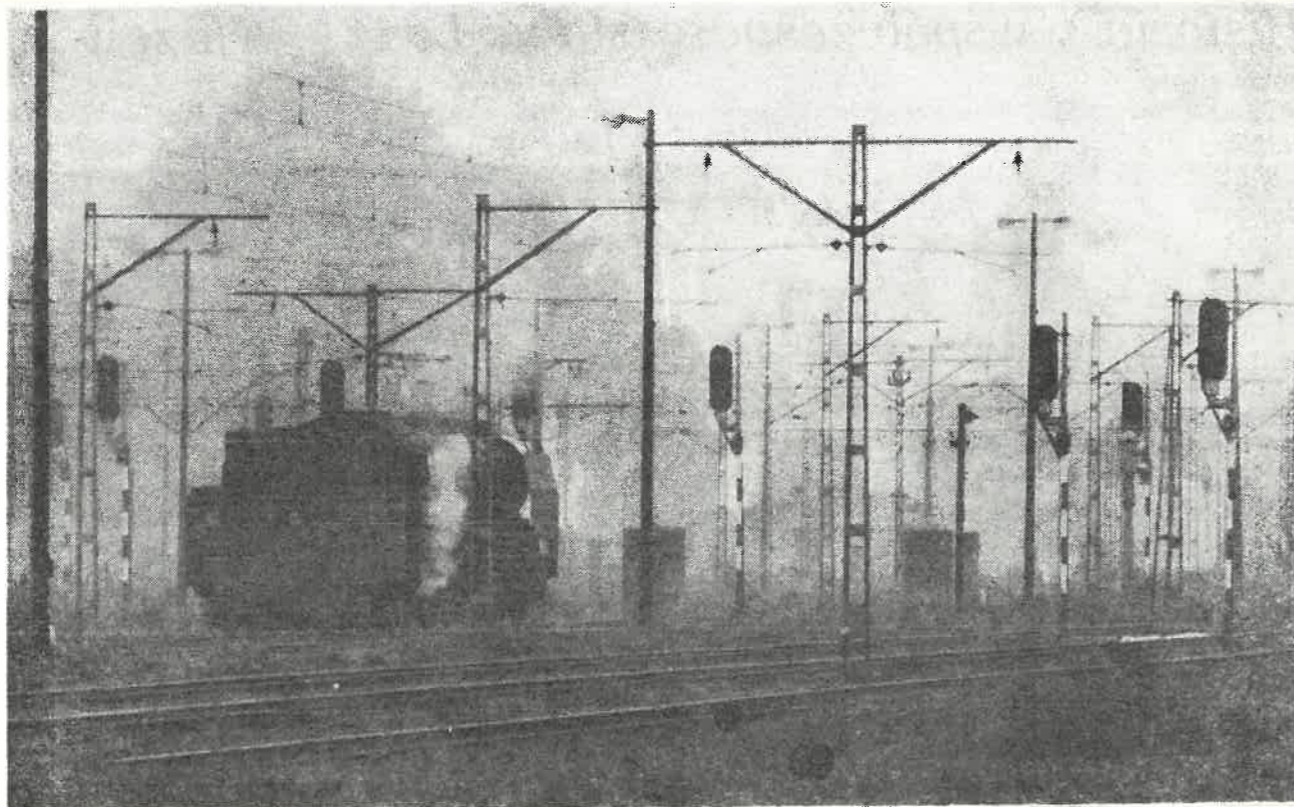
Dzieje polskich kolei liczące już 147 lat były równie burzliwe jak dzieje naszego kraju i narodu. Ponad połowa tego okresu — od czasu budowy pierwszych linii aż do 1918 roku upłynęła w warunkach niewoli i podziału Polski na trzy zabory.

W 1848 roku uruchomiono linię warszawsko-wiedeńską na całej długości. Duże znaczenie gospodarcze dla Łodzi miało odgałęzienie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej otwarte 1 czerwca 1866 roku na odcinku Kuluszki—Łódź i zostało nazwane Koleją Fabryczno-Łódzką. Dzięki temu prężny ośrodek przemysłowy jakim jest Łódź, otrzymał dojazd kolejowy. Poprzednio wszystkie towary m.in. węgiel były dowożone furmankami z najbliższej stacji kolejowej w Rokicinach, odległej o 30 km od Łodzi.

W roku 1903 została wybudowana i oddana do eksploatacji stacja Łódź Widzew. Żadne jednak źródła archiwalne, ani też kroniki nie podają bliższych danych o jej budowie i dalszych losach tej stacji, tak do czasów I wojny światowej jak i w okresie międzywojennym i w czasie okupacji hitlerowskiej. Dopiero po zakończeniu II wojny świa-

towej i wyzwoleniu Łodzi znane są bliższe szczegóły dotyczące tej ważnej dla naszego miasta stacji kolejowej.

Dnia 19 stycznia 1945 roku Armia Radziecka i Wojsko Polskie wyzwoliły Łódź z niewoli hitlerowskiej. Już następnego dnia po wyzwoleniu zgłosili się do pracy na stację Łódź Widzew pierwsi kolejarze Polacy. Byli to ci, którzy pracowali tutaj w czasie okupacji. Stacja przedstawiała wówczas żalosny widok. Tory porozrywane były lejami bomb. Rozbite wagony, pełne cennego dobytku, pozostawione przez uciekającego okupanta, czekały na nowego gospodarza. Ci pierwsi, którzy przyszedli na stację, zajęli się ochroną pozostawionego mienia i urządzeń. Potem szybko zaczęli przybywać nowi ludzie. Przyszedł zawiadowca stacji Hieronim Supady, który zaczął organizować służbę ruchu. Zawiadowca odcinka drogowego Stanisław Stachurzyński zajął się naprawą zniszczonych torów i rozjazdów. Wymarła stacja zaczęła ożywać. Ruszyły pierwsze pociągi. W pierwszych dniach ruch pociągów przez stację był bardzo mały. Zniszczone mosty na linii do Łodzi Kaliskiej i dalej na zachód, nie pozwalały na uruchomienie pociągów najkrót-



STACJA ŁÓDŹ — WIDZEW

fol. M. Jerczyński

szą drogą ze wschodu na zachód kraju. Przybywające pociągi musiały jechać okrężną drogą przez Zgierz i Kutno.

Trudne były te pierwsze dni. Dzięki jednak ofiarnej i pełnej poświęcenia pracy takich ludzi jak: dyżurni ruchu Leszek Boczar, Albin Kaczmarek, Ryszard Urbański, Bolesław Włodkowski, Zygmunt Łuszczkiewicz, Walerian Frankiewicz i nastawniczowie Zimny Stanisław, Stajuda Stanisław, Przybył, Zieliński Franciszek oraz wielu innych, stacja sprostała nałożonym na nią wymaganiom kończącej się wojny. Stacja otrzymała nowe zadania. Stała się ona główną stacją rozrządową na węźle łódzkim. Przez Łódź Widzew szły teraz dary z ZSRR dla miasta, szły transporty węgla z kopalń i wyroby z uruchamianych fabryk i hut. Aby tym zadaniom sprostać, trzeba było jak najszybciej uruchomić nieczynne nastawnie elektryczne. Do pracy tej przystąpili pracownicy nowoorganizowanego Odcinka Zabezpieczenia Ruchu Kolejowego z zawiadowcą ob. Jerzym Wojciechowskim na czele. Pomagali mu monterzy: Szablewski Edmund, Świnoga Mieczysław, Lemiesz Eugeniusz i inni, którzy na podstawie odnalezionych, ponemieckich planów potrafili odbudować zniszczone urządzenia i w roku 1946 oddali je do eksploatacji służbie ruchu.

Teraz stacja zaczęła pracować sprawniej i lepiej. A praca stacji była ogromna, obroty

wagonów osiągnęły 1500 na dobę. Stacja Łódź Widzew przejęła cały ruch towarowy na węźle łódzkim. Zaszła konieczność jej rozbudowy. W 1950 roku została wybudowana druga górnica rozrządowa i sześć torów do formowania pociągów zbiorowych.

W tym czasie stacja posiadała trzy tory dla ruchu pasażerskiego, 9 torów przyjęciowych dla pociągów towarowych i 19 torów relacyjnych i dwie górnice rozrządowe. Dzienny obrót wagonów towarowych wzrósł do 2200.

W nowoczesność Stacja Łódź Widzew wkracza 3 października 1954 roku, kiedy to zakończona zostaje elektryfikacja na odcinku Koluśki — Łódź Fabryczna. W dwa lata później pociągi elektryczne kursują już na szlaku Łódź Widzew — Łódź Olechów. W 1958 roku zostaje zelektryfikowany odcinek Łódź Widzew — Łódź Kaliska.

Od 1958 roku do początku lat osiemdziesiątych stacja rozwija się powoli, nie nadążając za rozwojem Łodzi. Tak jak na całej sieci PKP, również i na naszej stacji był okres zastojów w dalszej rozbudowie i modernizacji. Ale po latach tych zaczęto znowu inwestować w kolej. Początek lat osiemdziesiątych przynosi zmiany i ulepszenia. Gonimy za nowoczesnością. Postęp techniczny, rozbudowa i modernizacja dotarły również i do naszej stacji. W roku 1987 zakończono wymianę nawierzchni wszy-

stkich torów i rozjazdów w rejonie całej stacji.

W marcu tegoż roku oddano do eksploatacji po kilku latach prowadzonych robót, nowoczesne urządzenia przekąźnikowe sterowania ruchem pociągów. Urządzenia te zostały zainstalowane na nastawniach w miejsce starych, już wysłużonych. Oddanie nowej inwestycji w znaczącym stopniu przyczyniło się do usprawnienia prowadzenia ruchu pociągów. Zwiększyło to jednocześnie bezpieczeństwo przewożonego przez kolej mienia i ludzi.

Stacja Łódź Widzew zmienia charakter swojej pracy. Ze stacji typowo towarowej przekształca się w stację o dużym znaczeniu w ruchu pasażerskim. Wybudowane obok stacji wielkie osiedle mieszkaniowe Widzew Wschód i budowa dalszych osiedli spowodowała, że ze stacji tej korzysta coraz większa liczba pasażerów. Zmniejsza się natomiast ruch towarowy. Stopniowo ruch ten przejmuje po zakończeniu przebudowy w maju 1989 roku jedna z najnowocześniejszych na sieci PKP stacja Łódź Olechów. Pracą rozrządową tej stacji kierują nowoczesne urządzenia komputerowe.

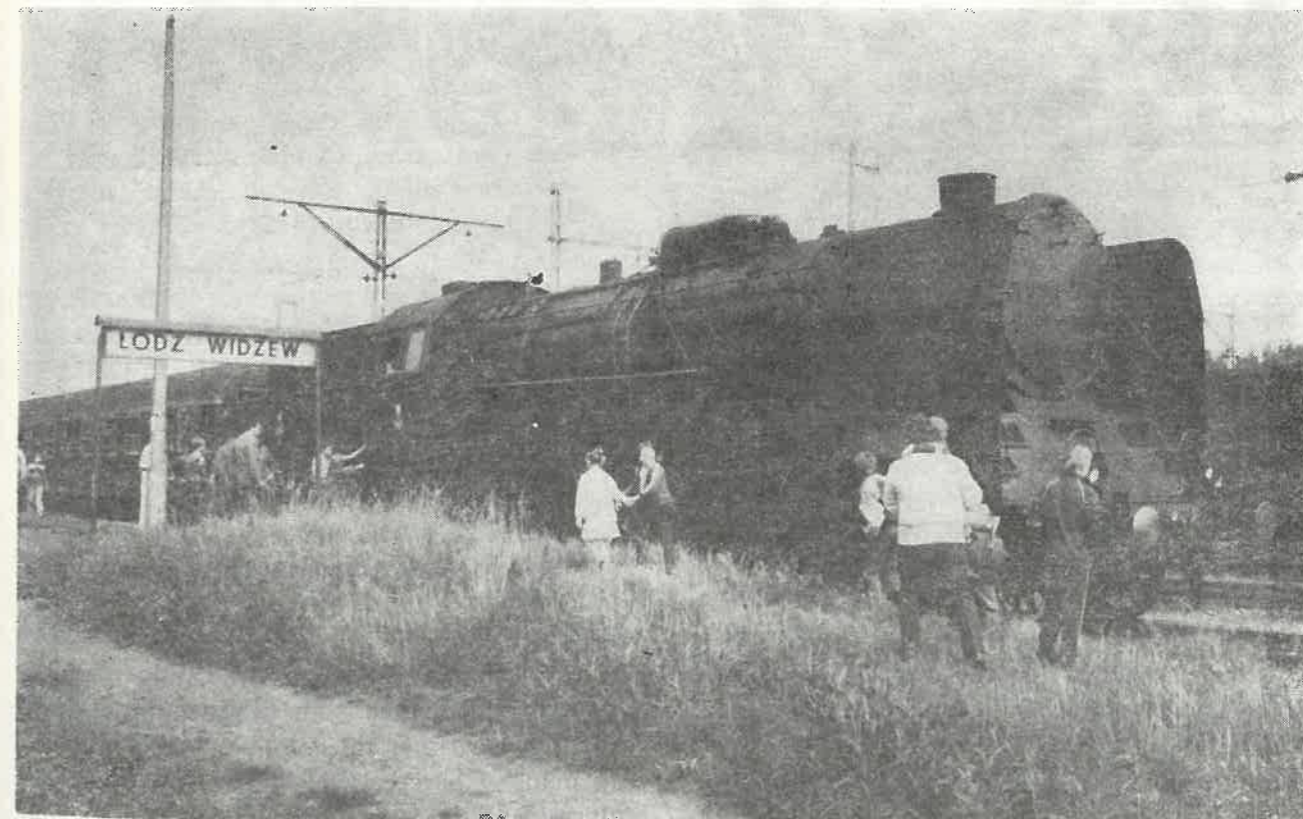
W sierpniu 1984 roku Naczelnikiem Stacji zostaje Jacek Kamiński, młody, energiczny absolwent Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu i od pierwszych dni kierowania stacją,

czyni starania o jej modernizację i przystosowanie do aktualnych potrzeb. W wyniku jego starań i postulatów mieszkańców osiedla, na stacji Łódź Widzew od roku 1986 zatrzymują się wszystkie pociągi pośpieszne. Odnawiane są wszystkie budynki stacyjne i pomieszczenia służbowe. Wykonany jest kapitalny remont peronu I. Na korzyść zmienia się wygląd estetyczny stacji.

We wrześniu 1988 roku stacja obchodzi uroczystości jubileuszowe 85-lecia oddania jej do eksploatacji.

Zakłady pracy z terenu Dzielnicy Łódź Widzew w uznanie zasług dla miasta, doceniając ciężką i odpowiedzialną pracę widzewskich kolejarzy, ufundowały załozce stacji Łódź Widzew sztandar. Przekazanie sztandaru odbyło się na akademii z okazji jubileuszu stacji i Dnia Kolejarza w dniu 09.IX.1988 r. w Widzewskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego 1 Maja. Na akademii tej wielu zasłużonych pracowników stacji otrzymało odznaczenia resortowe i Honorowe Odznaki Miasta Łodzi. Udział w święcie widzewskiej załogi wzięła liczna grupa emerytów i rencistów, byłych pracowników stacji Łódź Widzew.

Z okazji jubileuszu zorganizowanych było wiele imprez, takich jak: wystawa nowoczesnego sprzętu służącego do budowy i modernizacji nawierzchni torowych, nowoczesnych lokomotyw i wagonów.



PERON STACJI ŁÓDŹ — WIDZEW

fol. M. Jerczyński

Na I peronie zostały ustawione ekspozyty Muzeum Kolejnictwa w Warszawie, parowóz serii Tkh 49 wyprodukowany w 1959 roku przez Fabrykę Lokomotyw w Chrzanowie i wagon towarowy serii Kmnh Nr 294571 zbudowany w roku 1910 w mieście Arad (obecnie Rumunia).

Dużym powodzeniem i frekwencją wśród najmłodszych mieszkańców naszego miasta cieszył się zabytkowy pociąg, który kursował

w dniach 5—16 września wokół Łodzi. Pociąg składał się z 6-ciu starego typu wagonów. Skład prowadziła lokomotywa parowa serii Tkt 48-158 z lokomotywni Kępno.

Podobną imprezę zorganizowano z okazji Dnia Dziecka pod hasłem „Kolejarze — Dzieciom” w dniach 29.05.—04.06.1989 r.

JAN GAŁĄZKA

## Bohaterski kapłan — ksiądz Ignacy Skorupka



POMNIK KS. I. SKORUPKI

fot. B. Bazyliński

Postać księdza Ignacego Skorupki przez długie lata funkcjonowała w świadomości społecznej jako pewnego rodzaju legenda o wyjątku patriotycznym. Kim był Ignacy Skorupka, ku czci którego mieszkańcy Łodzi wzniesli w 1930 roku pomnik?

Ksiądz Ignacy Skorupka urodził się w Warszawie 31 lipca 1893 roku w rodzinie urzędniczej. Od wczesnej młodości, działając aktywnie m.in. w harcerstwie, wykazywał duże zainteresowanie pracą społeczną i pedagogiczną, skłaniał się też, mimo pewnych oporów ze

strony rodziców, ku kapłaństwu. Był ministrantem w kościele Wszystkich Świętych, a w 1909 roku, w wieku zaledwie 16 lat wstąpił do warszawskiego seminarium duchownego. Po ukończeniu studiów w 1913 roku i przyjęciu niższych święceń w kościele Świętego Krzyża z rąk bp. Kazimierza Ruskiewicza, skierowany został na dalsze studia teologiczne do jedynej wówczas szkoły katolickiej w Cesarstwie Rosyjskim, Akademii Duchownej w Petersburgu. Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy brał aktywny udział w organizowaniu życia religijnego i społecznego prowadząc działalność oświatową w Klembowie i Ochocie. Z jego inicjatywy powstały tam drużyny skautowskie, rozwijała się działalność spółdzielcza i życie kulturalne. Swoje posłannictwo kontynuował również w Petersburgu, gdzie założył m.in. kółko literackie „Polonia”.

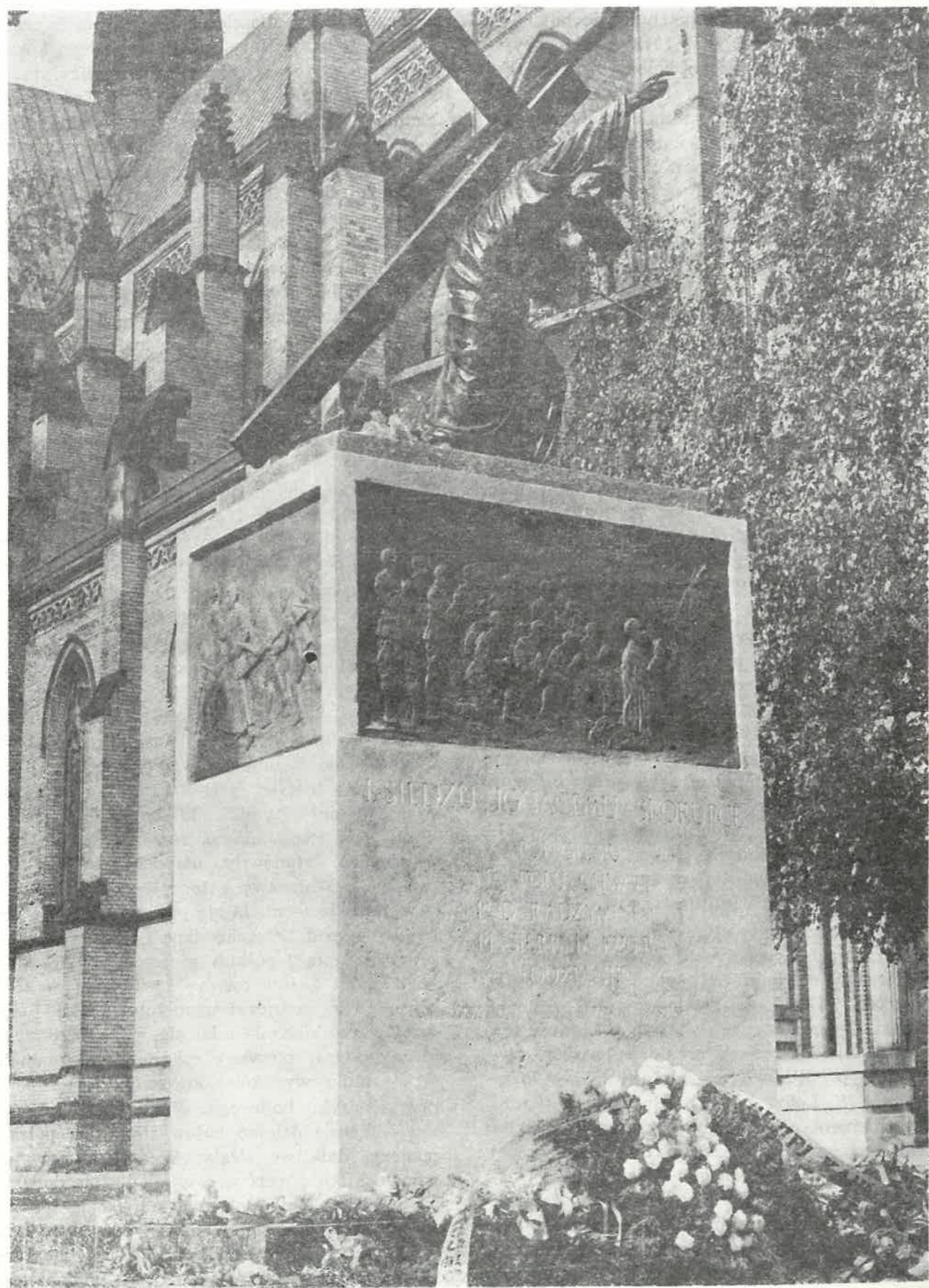
W Petersburgu, w styczniu 1916 roku otrzymał z rąk bp. Jana Cieplaka święcenia kapłańskie. Pierwszą placówką duszpasterską ks. Skorupki był Bogarodziec pod Moskwą. Wydarzenia wojny światowej spowodowały exodus ludności polskiej z Królestwa do Rosji, w trudnej sytuacji znaleźli się również Polacy zmobilizowani w carskiej armii, jeńcy wojenni narodowości polskiej i zesłańcy polityczni uwolnieni z Sybiru. Do akcji pomocy Polakom włączył się bardzo aktywnie ks. Skorupka organizując w Bogarodźcu Komitet Pomocy i Opieki nad Uchodźcami oraz schroniska dla sierot wygnańców. Kontynuował tę działalność w Klińcu koło Homla w guberni czernichowskiej, gdzie prowadził duszpasterstwo wśród robotników, założył szkołę powszechną dla dzieci uchodźców, zorganizował Związek Żołnierzy Polskich, którego celem była troska o poziom moralny wojska, walka z analfabetyzmem i rozwój życia kulturalnego.

Nie ukończywszy studiów akademickich, po wydarzeniach związanych z rewolucją październikową, w sierpniu 1918 roku ks. Skorupka powrócił z wieloma swoimi parafianami do Polski. Przez następne dwa lata pracował jako duszpasterz na terenie archidiecezji warszawskiej — początkowo w Łodzi, później w Warszawie. W Łodzi był wikariuszem w parafii Przemienienia Pańskiego oraz współzałożycielem i pierwszym prezesem Rady Nadzorczej gimnazjum filologicznego Towarzystwa „Oświata”. Był to trudny okres w życiu kapłana — nie zrealizowane marzenia o dokończeniu studiów, tym razem w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, osamotnienie, trudne warunki materialne, obojętność religijna znacznego odłamu klasy robotniczej Łodzi — wszystko to przyczyniło się do opuszczenia tego miasta.

W lipcu 1919 roku przeniósł się do Warszawy, gdzie był katechetą, notariuszem Kurii Metropolitalnej a także kapłanem nowo utworzonego zakładu dla sierot prowadzonego przez siostry Rodziny Maryi na Pradze. Jego kazania słuchano w różnych kościołach stolicy, m.in. w świątyni Panien Kanoniczek, na Koszykach, Kamionku oraz w katedrze warszawskiej. Latem 1920 roku wojska radzieckie zaczęły bezpośrednio zagrażać stolicy i w tej sytuacji ks. Skorupka zwrócił się do kard. Aleksandra Krakowskiego z prośbą o zezwolenie na wstąpienie do wojska. Nie uzyskawszy zgody zwrócił się ponownie do bp. polowego Stanisława Galla, który mianował go kapłanem garnizonu na Pradze.

Do obowiązków kapłana należało odwiedzanie koszarów, dworców, szpitali i udzielanie posługi duszpasterskiej żołnierzom. Ks. Skorupka podjął wówczas decyzję objęcia funkcji kapłana I Batalionu 236 pułku piechoty Armii Ochotniczej im. Weteranów 1863 roku. W budynku liceum im. Władysława IV, gdzie stacjonowała jednostka zorganizował kaplicę i odprawiał w niej Msze święte. Czas spędzany wśród ochotników poświęcał na poznanie ich trosk, udzielaniu rad, podnoszeniu ducha bojowego i umacnianiu wiary w zwycięstwo zdobywając sobie zaufanie całego batalionu.

Z batalionem tym, po odprawieniu krótkiego nabożeństwa polowego, ks. Ignacy Skorupka wyruszył do Rembertowa 13 sierpnia 1920 roku, a stamtąd w nocy z 13 na 14 sierpnia do Ossowa koło Radzimy. Tu jednostka przemianowana została na II Batalion 36 pp Legii Akademickiej i weszła do boju 14 sierpnia. Walki pod Radzyminem, rozpoczęte dnia poprzedniego, stanowiły ośrodek zmagania na przedpolu Warszawy i toczyły się ze zmieniającym powodzeniem. 14 sierpnia rozegrał się lokalny bój pod Leśniakowizną i Ossowem. Nieprzyjacieli siłą 2 pułków przerwał odcinek dywizji, zajął Leśniakowiznę i wtargnął do Ossowa, gdzie zaskoczył uzupełnienia. Atak oddziałów polskich nie udał się, gdyż ochotnicy, którzy po raz pierwszy szli do boju załamali się i mimo wysiłków dowódców nie zdołali przyjąć szyku bojowego. W dużym zamieszaniu i chaosie działających bojowych strona polska poniosła dotkliwą stratę. W trakcie zmagania zginęło kilku oficerów, a w ich liczbie dowódcą batalionu kpt. Matarewicz i ksiądz Ignacy Skorupka, raniony śmiertelnie jedną z pierwszych kul nieprzyjacielskich. Ciało bohatera bitwy i wycofaniu się Rosjan. Przeniesiono je do Warszawy i pochowano na cmentarzu powązkowskim. Ks. Ignacy Skorupka został



POMNIK KS. I. SKORUPKI

fol. B. Bazyliński



POMNIK KS. I. SKORUPKI

fol. B. Bazyliński

pośmiertnie odznaczony przez dowódcę armii gen. Józefa Hallera Orderem Virtuti Militari V klasy.

Ofiarę życia kapłana poniesioną w początkowej fazie walk o stolicę wiązano powszechnie z odniesionym następnego dnia zwycięstwem wojska polskiego w tzw. „bitwie warszawskiej” znanym także pod nazwą „cudu nad Wisłą”. Śmierć ks. I. Skorupki wywołała w społeczeństwie wielkie poruszenie, a to tragiczne wydarzenie upamiętniono m.in. krzyżem na polu bitwy w Ossowie i skromnym mauzoleum z rozbudowaną w 1981 roku kaplicą.

W Łodzi ideę uczczenia pamięci tej postaci realizował Komitet Budowy Pomnika Ks. I. Skorupki, którego prezesem wybrano dyrektora zakładów I. K. Poznańskiego Józefa Wolczyńskiego a sekretarzem został ks. Antoni Szymanowski. Do budowy pomnika przystąpiono w połowie lipca na placu przed katedrą łódzką z lewej strony wejścia do świątyni. Czworograniasty pomnik ozdobiony został w górnej części czterema płaskorzeźbami projektowanymi przez profesora Przemysłowej Szko-

ły Handlowej w Łodzi Franciszka Sługockiego. Przedstawiały one sceny z roku 1920 — modlitwę przed bitwą w otoczeniu żołnierzy-ochotników, ks. I. Skorupkę z krzyżem w dłoni wiodącego żołnierzy do boju, przeniesienie zwłok kapłana z pola walki i symboliczny wizerunek Polski w aureoli zwycięstwa. Odlewy płaskorzeźb wykonano w Państwowej Szkole Rzemieślniczej w Pabianicach pod dozorem arch. I. Kabana. Na szczycie cokołu z piaskowca ustawiono figurę Chrystusa niosącego na ramieniu krzyż odlaną z brązu w firmie Braci Kopińskich w Warszawie.

Odsłonięcie i poświęcenie pomnika kapłana — bohatera ks. Ignacego Skorupki odbyło się 15 sierpnia 1930 roku, w dniu uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i jednocześnie w 10 rocznicę odparcia najazdu bolszewickiego pod Warszawą. Obchody miały w Łodzi niezwykle uroczyste i podniosły charakter. Miasto przybrało odświętny wygląd, domy udekorowano flagami narodowymi. Główne uroczystości koncentrowały się oczywiście na placu przed katedrą św. Stanisława Kostki, a poprzedzone zostały zbiórką oddzia-

łów wojska, delegacji jednostek straży pożar-nych, członków związków zawodowych, sto-warzyszeń, młodzieży szkolnej, harcerzy, dru-żyn sokolich, delegacji 22 prowincjonalnych kół Związku Młodzieży Polskiej, licznych or-ganizacji społecznych i kulturalnych. Na uro-czystości przybyli też licznie mieszkańcy mia-sta.

Po przemarszu oddziałów przy dźwiękach orkiestry o godzinie 9.45 rozległo się bicie dzwonów katedralnych, po czym o 10.00 z pa-łacu biskupiego przybył pod pomnik w licznej asyście duchowieństwa łódzkiego ks. bp. dr Wincenty Tymieniecki. Odślonięcia pomnika dokonał prezes Komitetu Budowy pomnika J. Wolczyński, następnie bp. Tymieniecki po-święcił pomnik a ks. Woyna wygłosił okolicz-nościowe kazanie podkreślając bohaterstwo ks. Ignacego Skorupki. Dalsze uroczystości prze-biegały w katedrze, gdzie, bp. Tymieniecki ce-lebrował solenne nabożeństwo dziękczynne,

## Muza z Babska



KONSTANCJA GŁADKOWSKA repr. E. Dudaczyk

które dzięki megafonom umieszczonym na ze-wnątrz kościoła mogło być wysłuchane przez zgromadzone tam wielotysięczne tłumy miesz-kańców Łodzi. Uroczystości w katedrze zakoń-czyły się o godzinie 13.00 a pozostałe jeszcze przez chwilę pod pomnikiem drużyny harcerskie odśpiewały „Rotę”. Dziś, odrestaurowany pomnik z oryginalnymi płaskorzeźbami prze-chowanymi przez duchowieństwo łódzkie w ka-tedrze, stoi na dawnym miejscu dając świadectwo pamięci łodzian o bohaterskim kapła-nie.

(Opracowano na podstawie materiałów uży-czonych przez dr Marka Budziarka, artykułu Piotra Niteckiego, Książd Ignacy Skorupka (1893—1920), „Ład”, nr 33 z 14.VIII.1988 oraz relacji zamieszczanych w prasie łódzkiej z 1930 roku).

MIROSŁAW JASKULSKI

W 1989 roku zbiegły się znaczące nie tylko dla chopinologów, muzykologów czy history-ków, ale i dla kultury narodowej rocznice: 140-lecie śmierci Fryderyka Chopina, 100-lecie śmierci Konstancji Gładkowskiej — młodzień-czego „ideału” artysty z jego czasów studenc-kich, oraz 55-lecie istnienia Towarzystwa im. Fryderyka Chopina, które to w listopadzie 1988 roku przyjęło w użytkowanie XVIII-wieczny dwór w Brochowie, miejscowości i pa-rafii tak bardzo związanej z rodziną Chopi-nów. W oparciu o Krajową Federację Chopi-nowską ma tam niebawem powstać Międzyna-rodowy Ośrodek Dydaktyki Muzyki Chopina.

Zarówno prasa centralna jak i periodyki lokalne takie jak Dziennik Łódzki, Głos Ro-botniczy czy Wiadomości Skierniewickie, a tak-że czasopisma muzyczne, w licznych ostatnio publikacjach akcentowały potrzebę przypom-nienia postaci Konstancji, rzetelnego zainte-resowania się jej biografią nie tylko jako le-gendarnej muzy Chopina, ale wspaniale zapo-wiadającej się artystki Teatru Narodowego w Warszawie i solistki tamtejszej Opery w la-tach 1829—1831.

Zainteresowanych romansowym wątkiem życia Gładkowskiej odsyłam do swojego arty-

kułu w Ruchu Muzycznym pt. „Muza Chopina” nr 20 z dn. 24 września 1989 roku. Opis prze-biegu kariery artystycznej tej utalentowanej śpiewaczki i uczestniczki Powstania Listopado-wego można z kolei znaleźć w pracy Janusza Galewicza pt. „Co się zaś śpiewu Tycze” (Ruch Muzyczny nr 24 z 19 listopada 1989 roku) gdzie znaleźć można nigdzie do tej pory nie publiko-wane szczegóły przyczynkarskie i warsowiani-styczne.

W przygotowywanej przez Pracownię Regio-nalną Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Ło-dzi monografii krajoznawczej „Babsk i okoli-ce” znaleźć będzie można wiele wskazówek praktycznych dotyczących tras i miejsc zwią-zanych z życiem Gładkowskiej oraz opisy in-teresujących przeżyć skrajem malowniczej Wy-żyny Rawskiej oraz doliną Białej i Rawki.

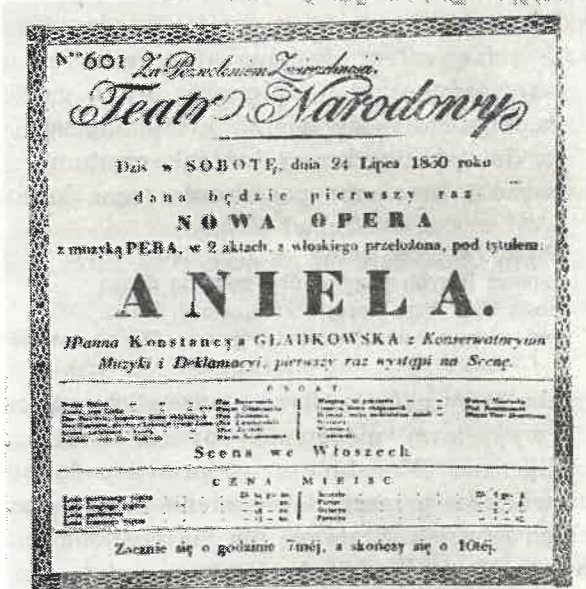
\* \* \*

Konstancja Gładkowska była córką Andrze-ja i Salomei z Wilkinów Gładkowskich. Uro-dzona w Warszawie 4 czerwca 1810 roku, pra-wie od dziecka uczestniczyła w życiu muzycz-nym i kulturalnym stolicy, wcześniej już zdra-dzając upodobania artystyczne a szczególnie zdolności wokalne. Po śmierci ojca początkowo wychowuje ją matka. Obie mieszkają wtedy przy ulicy Nowomiejskiej, a więc w patry-cjuszowskiej części miasta. Z zachowanych dokumentów wiemy, że od 1826 roku kształci się ona na koszt państwa w Konserwatorium Muzycznym uczęszczając do klasy śpiewu i de-klamacji prowadzonej przez sławnego kompo-zytora i pedagoga, Włocha z pochodzenia Car-la Evasia Solivę. Jako stypendystka rządowa musiała więc spełniać nie lada wymogi w za-kresie talentu, pracowitości i aparycji oraz ro-kować nadzieję na bardziej niż przeciętną ka-riery artystyczną. Równocześnie zamieszkiwa-ła ona w pensjonacie przeznaczonym dla ele-wek Konserwatorium przy Krakowskim Przed-mieściu nieopodal Zamku Królewskiego.

Konstancja, miała nie tylko piękny głos, ale i „postać powabną i kształtną”. Do dziś zachowały się jedynie jej dwie podobizny z epoki i to jako fotokopie: dagerotyp z lat 50-tych ubiegłego stulecia oraz rysunek Gerso-na. Na ich podstawie warszawska plastyczka Anna Chamiec wykonała na zlecenie Towa-rzystwa im. Fryderyka Chopina w 1969 i 1975 roku stylizowane miniatury często prezento-wane ostatnio w licznych artykułach o Kon-stancji i wydawnictwach albumowych o Cho-pinie. Taką właśnie najprawdopodobniej była Gładkowska w czasach kiedy widywał ją mło-dziutki Fryderyk od chwili kiedy zapisał się do

Szkoły Głównej Muzyki po powrocie z Bad Rei-nerz (dzisiejsze Duszniki). Rektorem tej uczel-ni był wówczas znany pedagog, kompozytor i kapelmistrz — Józef Elsner. W salonach war-szawskich o Chopinie mówiło się jako o na-stępcy Mozarta i „cudownym dziecku” a nie-bawem powierzono mu akompaniowanie do mszy w kościele sióstr Wizytek. W chórze kościelnym śpiewała jako solistka, pupilka Solivy — Konstancja, zarówno więc ją jak i Chopina znała cała ówczesna studencka Warszawa z uroczystych nabożeństw akademickich. Jak podają materiały źródłowe, do pierwszego jed-nak spotkania doszło dopiero podczas koncertu dyplomowego Konstancji w czerwcu 1829 roku, kiedy młody artysta usłyszał i zobaczył ją po raz pierwszy w sali Konserwatorium. Zdarze-nie to wnet zaowocowało walcem Des-dur op. 70 nr 3 — wysublimowanym, muzycznym ero-tykiem w formie modnego wówczas salonowego tańca. Jak pisze sam Chopin na pamiątkę wrażenia jakie na nim wywarła Konstancja „stanęło adagio” Koncertu Fortepianowego f-moll.

Tymczasem nadszedł dzień debiutu Kon-stancji na scenie Teatru Narodowego w lipcu 1830 roku. Śpiewała wówczas w popularnej operze Paera „Agnes” partię sopranową Anieli. Występ ów Chopin w liście do przyjaciela, Tytusa Woyciechowskiego relacjonuje w na-stępujących słowach: „... nie mówię o grze



PLAKAT PIERWSZEGO WYSTĘPU KONSTANCJI GŁADKOWSKIEJ ze zbiorów Bibl. Dram. Teatrów Miejskich

tragicznej, wybornej, bo mi nie ma co powiedzieć. Jak frazuje, to byś się rozkoszował, cieniuje paradnie, a chociaż z początku na wejściu głos jej się trząsł, później b. śmiało śpiewała". Tak czy owak Konstancja występowała też podczas pożegnalnego koncertu Chopina 11 października 1830 roku w Teatrze Narodowym. Znaleźli się więc tam razem na scenie zarówno w wymiarze historycznym jak i koleżeńskim pożegnania bowiem ich rozstanie na zawsze nastąpiło już niebawem. Konstancja śpiewała wówczas popularną i lubianą przez publiczność Warszawy cavatinę z opery Rossiniego „Pani Jeziora” — biało, z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubrana. Nie zdołała jednak ani głosem, ani wyglądem ani słowami pieśni zatrzymać w Polsce Fryderyka, który już kilkanaście dni później koncertował w Wiedniu. Póki co nastąpiła jednak między nimi wymiana pierścionków. Nie była to jednak interpretują niektórzy biografowie Chopina wymiana zaręczynowa a raczej przyrzeczenie wierności romantycznej przyjaźni. W kilka dni po koncercie Konstancja wpisała Fryderykowi do albumu wierszyk tyle zalotny co i smutny:

„Przykre losu spełniasz zmiany  
Ulec musiem potrzebie  
Pamiętaj niezapomniany  
Że w Polsce kochają Ciebie”.

Wydaje się, że autorka miała wtedy na myśli nie tylko siebie ale i przyjaciół Chopina. Zdawała sobie zatem doskonale sprawę, że nie jest ani jedyną ani też pierwszą, która go kochała. Dlatego może wiersz, który napisała w kilka dni później brzmi już jak rozstanie na zawsze i heroiczne pogodzenie się z losem:

„Ażebym wieniec sławy w niezwiędły zamienić  
rzucasz lubych przyjaciół i rodzinę drogą  
mogą Cię obcy lepiej wynagrodzić, cenić  
lecz od nas kochać mocniej pewno Cię nie mogą”.

Trzeba przyznać, że słowo „pewna” brzmi tutaj wyjątkowo niepewnie bowiem wrażliwa, inteligentna Konstancja najprawdopodobniej już wówczas przeczuwała istnienie swych przyszłych rywalek. Stała się nią jak wiadomo niebawem Maria Wodzińska i jej to właśnie a nie Konstancji Chopin oświadczył się „o szarej godzinie” jak sam pisał do rodziny z Drezna w roku 1836. Nie zmienia to faktu, że zaraz po opuszczeniu na zawsze kraju w pierw z Wiednia a niebawem ze Stuttgartu zaczęły nadchodzić do Konstancji pełne młodzieńczej egzaltacji listy. Tymczasem niedawna panna Gładkowska była już wówczas panią Józefową Grabowską i mieszkała w dawnym pałacu Tep-

pera przy ulicy Miodowej w Warszawie. Małżonkowie Grabowscy najprawdopodobniej około 1834 roku osiedlają się w majątku Raducz w pobliżu Babska odkupionym od zubożałej rodziny szlacheckiej Węgrzeckich. Wieś położona z dala od głównych szlaków komunikacyjnych, wśród jałowcowisk, gaików brzozywych i nieużytków nie przynosiła większych dochodów a mimo to początkowo rodzinie żyło się dostatnio. Grabowscy mieli pięcioro dzieci ale historia wspomina jedynie o dwóch córkach — Zofii i Marii, które poślubiły braci stryjecznych Feliksa i Zygmunta Karpińskich. Obie zmarły w dość młodym wieku zostawiając dziadkom dzieci na wychowanie. Synem Marii był Stanisław Karpiński urodzony w Raduczu w 1870 roku późniejszy absolwent Uniwersytetu w Lipsku, organizator Banku Towarzystw Spółdzielczych w Warszawie, Minister Skarbu w rządzie Ignacego Paderewskiego, senator ziemi łódzkiej w okresie międzywojennym. Jego obszerny biogram znaleźć można w wydawnictwie „Czy wiesz kto to jest” Warszawa 1938 s. 325. Córka Stanisława Karpińskiego Hanna wyszła za mąż za Witolda Hulewicza współtwórcę polskiego radia w Wilnie i w Warszawie. Druga zaś córka Stefania została żoną Jana Zamoyskiego malarza, scenografa i architekta, konserwatora ocalałych obrazów Chopina i jego rodziny.

Życiowa idylla Konstancji nie trwała jednak długo. Już w 1845 roku straciła wzrok — według rodzinnej tradycji — akurat podczas nocnej lektury książki będącej na indeksie kościelnym pt. „Żyd wieczny tułacz” Eugeniusza Sue. Zaprosiła wówczas do Raducza swą dalszą rodzinę do pomocy w gospodarstwie i w wychowaniu wnuków. Zdarzenie to położyło się cieniem na atmosferze domu. Dopełnieniem serii nieszczęść była zarówno przedwczesna śmierć córek jak i w 1878 roku zgon jej męża. W rok później schorowana, niedołączona i prawie 70-letnia Konstancja sprzedaje zapuszczony majątek i przenosi się do Skierniewic. Zamieszkuje w domu przy ulicy św. Florianiana 4 i żyje jeszcze 10 lat przechowując listy Chopina jako drogocenną relikwię. Czując zbliżającą się śmierć pali je czyniąc wielką szkodę późniejszym biografom.

Konstancja z Gładkowskich Grabowska zmarła w dniu 20 grudnia 1889 roku. Niebawem ślad po niej zaginął. Dopiero w 1985 roku Towarzystwo Przyjaciół Skierniewic korzystając z pobytu Jerzego Waldorffa w Radziejowicach nawiązało z nim kontakt i wspólnym wysiłkiem wszczęto działania zmierzające do odnalezienia grobu Konstancji. Kilka tropów prowadziło jednak do nikąd. Henryk Szubert w

którymś z numerów „Głosu Robotniczego” z marca 1987 roku w notatce pt. „Niespełniona miłość Chopina” pisał, że Konstancja pochowana została w Raduczu. Nie jest to jednak zgodne z prawdą bowiem wieś ta od wieków należała do parafii Babsk i nigdy nie miała ani kościoła ani cmentarza. Przytaczana w kronice parafialnej przez proboszcza babskiego za księdzem prałatem Józefem Wieteską informacja, jakoby Konstancja spoczywała w krypcie kościoła nie znalazły potwierdzenia. Świątynia ta spłonęła w 1945 roku niebawem została odbudowana, w następnych latach była wielokrotnie odnawiana. Wśród zachowanych epitafiów okolicznych właściciele ziemskich nie znaleźli żadnego, który wiązał by się z Konstancją i z rodziną Grabowskich. O tym, że nie została pochowana na cmentarzu w Skierniewicach wiadomo z zachowanych tam ksiąg cmentarnych. Logiczne więc było przypuszczenie, że może ona spoczywać jedynie obok męża w grobowcu na cmentarzu parafialnym w Babsku. Dlaczego jednak nie było tam przez prawie sto lat inskrypcji dotyczącej Konstancji?

Tradycja XIX-wiecznych biografów Chopina przekazuje, że Grabowska zmarła w zapomnieniu i niedostatku. Nie żył już wtedy nikt z najbliższej rodziny a wnuk Stanisław Karpiński przebywał na studiach za granicą, więc pogrzebem zajęli się zapewne ludzie obcy nie mający środków na wykonanie napisu memoratywnego. Nie jest to jednak zgodne ze stanem najnowszych badań z których wynika, że istniała tam kiedyś tablica informująca o pochówku Konstancji, a rodzina opiekowała się nią do końca troskliwie.

Kiedy latem 1988 roku zbierając materiały do monografii krajoznawczej Babska wstąpiłem na miejscowy cmentarz, ku memu zdziwieniu na pustym do niedawna polu pomnika na grobie Józefa Grabskiego znalazłem świeżo wryty napis: „Konstancja Grabowska z d. Gładkowska — młodzieńcze natchnienie Fryderyka Chopina — ur. 1810 zm. 1889”. W tym mniej więcej czasie wpadła mi w ręce książka Agnieszki Feillowej pt. „Rodem z Kościanek” gdzie autorka — wnuczka Stanisława Karpińskiego a córka Witolda Hulewicza — wspominając rodzinę swej matki przytacza informację, że jej praprababka — Konstancja Gładkowska spoczywa w Babsku. Niedługo po tym fakcie trafiłem do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Skierniewicach by upewnić się czy jest to właściwe miejsce pochówku Konstancji. Jednak nikt z pracowników Biura Dokumentacji Zabytków o grobie Gładkowskiej dotąd nie słyszał a pomnika Gra-

bowskiego — mimo robionej inwentaryzacji cmentarza — nie było w kartotece zabytkowych grobów. Sprawa napisu wyjaśniła się dopiero w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Skierniewic (mieści się ono w domu w którym mieszkała i zmarła Konstancja), które jak się okazało samo zadecydowało o wykryciu napisu.

W 140-tą rocznicę śmierci Chopina, 15 października 1989 roku spotkali się u grobu Gładkowskiej jej potomkowie pp. Kaliszewscy z Warszawy a także pani prezes Towarzystwa im. Fryderyka Chopina prof. Barbara Hesse-Bukowska, światowej sławy pianistka oraz Dyrektor Generalny Towarzystwa — Bogumił Pałasz. Byli także przedstawiciele prasy ze Skierniewic, rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi oraz kilka innych zaproszonych osób. Nie zdążyła dojechać na uroczystości Aleksandra Śląska odtwarzająca postać Konstancji w filmie Aleksandra Forda „Młodość Chopina”; zmarła bowiem kilka dni wcześniej. Nie przybył też z powodu choroby red. Jerzy Waldorff, przysłał jednak elegancki i wzruszający list. Organizatorem i inicjatorem tego spotkania nie była żadna z instytucji do podobnych celów powołana — Wydział Kultury w Białej Rawskiej, Skierniewickie Towarzystwo Muzyczne czy Muzeum Okręgowe w Rawie Mazowieckiej a Maria i Janusz Galewiczowie z Łodzi mający w Julianowie Raduckim swoją letnią pracownię, opiekujący się od pewnego czasu mogiłą Gładkowskiej. Odkrywając i popularyzując historyczną pamiątkę po romantycznej Konstancji grono miłośników jej talentu i muzyki Chopina zwróciło uwagę nie tylko krajoznawców i regionalistów ale historyków i muzykologów na tę uroczą, pełną licznych zabytków architektury miejscowość. Po udostępnieniu rodzinnego domu Jarosława Iwaszkiewicza w Stawiskach szlak Chopinowski po Mazowszu przedłuża się więc na południe do Babska na skraj malowniczej Wysoczyzny Rawskiej.

Warto by się zastanowić, czy wzorem Wołuczy — miejscowości koło Rawy Mazowieckiej, gdzie w 100-lecie urodzin Marii Grzegorzewskiej — twórcy pedagogiki specjalnej w Polsce — postawiono niedawno granitowy obelisk, nie można by i w Raduczu wystawić skromnego pomnika, nie zachował się tam bowiem do naszych czasów modrzewiowy dwurek Grabowskich i wieś nie posiada po Konstancji żadnej pamiątki. Można by też rozważyć czy są warunki na organizowanie każdego grudnia w rocznicę śmierci Konstancji koncertów, sesji popularno-naukowych, okolicznościowych wystawek lub innych form akcentujących pamięć po niej. Można by też któryś z przyszłorocznych rajdów po Ziemi Rawskiej

nazwać jej imieniem, a może miejscowa szkoła podstawowa chciałaby mieć „Muzę Chopina” za swą patronkę? Pomysłów może być wiele a każdy z nich nie tylko wzbogaci kult wielkiego kompozytora, jego młodzieńczego natchnie-

nia — Konstancji, ale też przyczyni się do upowszechniania walorów krajoznawczych i bioklimatycznych Babska i okolic.

ZBIGNIEW LIPOWSKI



NAGROBEK KONSTANCJI GŁADKOWSKIEJ NA CMENTARZU W BABSKU

fot. G. Jastrzębowski

## Brat naszego Boga

w Sieradzkim, Piotrkowskim i Tatrach

O Bracie Albercie pisano:

„Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia” (Adolf Nowaczyński), „Krakowski biedaczyna z Asyżu” (Antoni Władysław Walczak), „Szary Brat” (Pia Górka), „Barwny Brat” (ks. Henryk Weryński), „Brat naszego Boga” (Karol Wojtyła), Sługa Boży, Ojciec ubogich i nędzarzy itp.

Dnia 3 czerwca 1838 r. odbył się ślub Wojciecha Chmielowskiego z Józefą Borzysławską w kościele parafialnym w Brwinowie pod Warszawą. Chmielowscy wywodzili się z Jastrzęb-

ców, którzy na Mazowszu siedzieli między innymi na Chmielowie. Jastrzębcy łączą się genealogicznie ze starszymi od siebie Boleściami. Gałąź, z którą bezpośrednio łączy się Adam Chmielowski wywodzi się od Franciszka Chmielowskiego, biorącego udział w elekcji Stanisława Augusta i żył w Ziemi Płockiej.

Adam Chmielowski, późniejszy Brat Albert, urodził się w Iglomiu, powiecie miechowskim, dnia 20 sierpnia 1845 r. i na chrzcie z wody według metryki parafii Iglomia otrzymał dwa imiona: Adam i Bernard; natomiast na chrzcie w kościele Nawiedzenia NMP, na Nowym Świecie w Warszawie, jeszcze trzecie — Hilary.



BRAT ALBERT (MAL. LEON WYCZÓLKOWSKI)

repr. W. Maliński

Prawdopodobnie na pamiątkę swego ojca chrzestnego Ostrowskiego, który nosił to imię. Był synem pierwotnym, który urodził się po siedmiu latach bezdzietności. Jesienią 1846 roku Wojciech Chmielowski przenosi się z rodziną do Słupcy na stanowisko naczelnika Komory Celnej I Klasy, położonej od strony Prus na trakcie poznańskim. Nie zabawili tutaj długo i po prawie roku przenieśli się w sierpniu 1847 r. bliżej Warszawy, do Szczypiorna koło Zakroczymia. Przyszli tutaj na świat dwaj następní synowie: Stanisław Teodor i Marian Antoni Józef.

W roku 1852 Chmielowscy wydzierżawili majątek ziemski Czernice — wieś z dworem, do którego należał folwark Jasień i przysiółek

Piskornik, parafia Osjaków, pow. Wieluń. W Czernicach przyszło na świat 17 VI 1852 r. ostatnie dziecko Chmielowskich, Jadwiga Modesta (późniejsza żona Artura Szaniawskiego; zmarła 2 XI 1917 r. we Włocławku. Na świątków urodzenia swej córki, jak wynika z metryki osjakowskiej parafii, proszą Grzegorza Rabikowskiego — sołtysa z Czernic i Antoniego Dudaka — gospodarza z Czernic, obu niepiśmiennych. Fakt ten świadczy o demokratycznych poglądach rodziców dziecka. Rodzicami chrzestnymi córki są Emanuel Madaliński — dziedzic z Dębiny i Helena Madalińska z Nowej Wsi, również dziedziczka.

27 września 1852 r. Chmielowscy kupili majątek ziemski Czernice, ale postępująca cho-

roba głowy rodziny powoduje, że administracja okazuje się ponad ich siły i możliwości. W roku 1853 sprzedają posiadłość i to ze stratą, poniżej ceny zakupu, Tomaszowi Dangglowi. Przenoszą się do Warszawy, gdzie mieszka matka Józefy Chmielowskiej. Po trzech latach choroby zmarł w Warszawie i pochowany został na Powązkach” Wojciech Chmielowski, urodzony w guberni Wołyńskiej 1811 r. zasnął w Bogu 1853 r. w dniu 25 sierpnia. Naczelnik Komory Szczypiórna, obywatel powiatu wieluńskiego. Najgodniejszy człowiek, najlepszy mąż i ojciec... Żona, trzech synów i córka ten pomnik żalu i wdzięczności położyli”.

Wdowa z czworgiem dzieci znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. Za sprzedane Czernice nie otrzymała całej sumy, ale będzie otrzymywała w ratach. Adam w 1857 r. rozpoczyna naukę w Korpusie Kadetów w Petersburgu, gdzie jako syn carskiego urzędnika państwowego miał zapewnione bezpłatne miejsce. Zdolny i inteligentny chłopiec zwrócił na siebie uwagę wizytującego szkołę cara Aleksandra II, który z nim dłużej rozmawiał i przyznał jakieś odznaczenie wojskowe. Młody kadet po przyjeździe na wakacje do Warszawy posługiwał się polsko-rosyjskim językiem. Matka widząc rusyfikację syna zapisała go do gimnazjum im. Pankiewicza.

Kolejnym etapem kształcenia byłego kadeta był Instytut Politechniczny Rolniczo-Leśny w Puławach. Bezpośrednio po zapisaniu się w 1861 r., nawiązuje kontakt z Leonem Frankowskim, przywódcą młodzieży patriotycznej. Pod jego przywództwem, jako jeden z pierwszych w grupie „Puławiaków”, wyrusza na powstańczy szlak, mając wówczas 17 i pół roku. Szlak prowadził przez Kurów, Sandomierz, Lipsk, Zawichost, Święty Krzyż do Nowej Słupi, gdzie stacjonował oddział Mariana Langiewicza. Po rozbiciu oddziału i przeprowie przez Wisłę natknęli się na wojska austriackie. Wśród zatrzymanych i internowanych znalazł się 18-letni student, bez dokumentów i pieniędzy. Przez Kraków wywieziony został do Ołomuńca. Ucieka razem z przyjaciółmi i w lipcu 1863 r. trafia do oddziału powstańczego, w charakterze podoficera. 3 IX 1863 r. w potyczce między Przedborzem a Rudą Chmielowski osłaniał wraz ze swoim plutonem odwrót powstańców. Dnia 30 września 1863 r. w bitwie pod Mełchowem koło Lelowa zostaje ranny w nogę od odłamka granatu. Po przegranej bitwie trafia do niewoli. Oddany zostaje w ręce polowego lekarza, a ten w obawie przed ogólnym zakażeniem, zdecydował amputację. Odbyła się ona w nocy, bez żadnych środków

znieczulających, a świecę trzymał operowany. Lewą nogę odjęto mu aż po kolano.

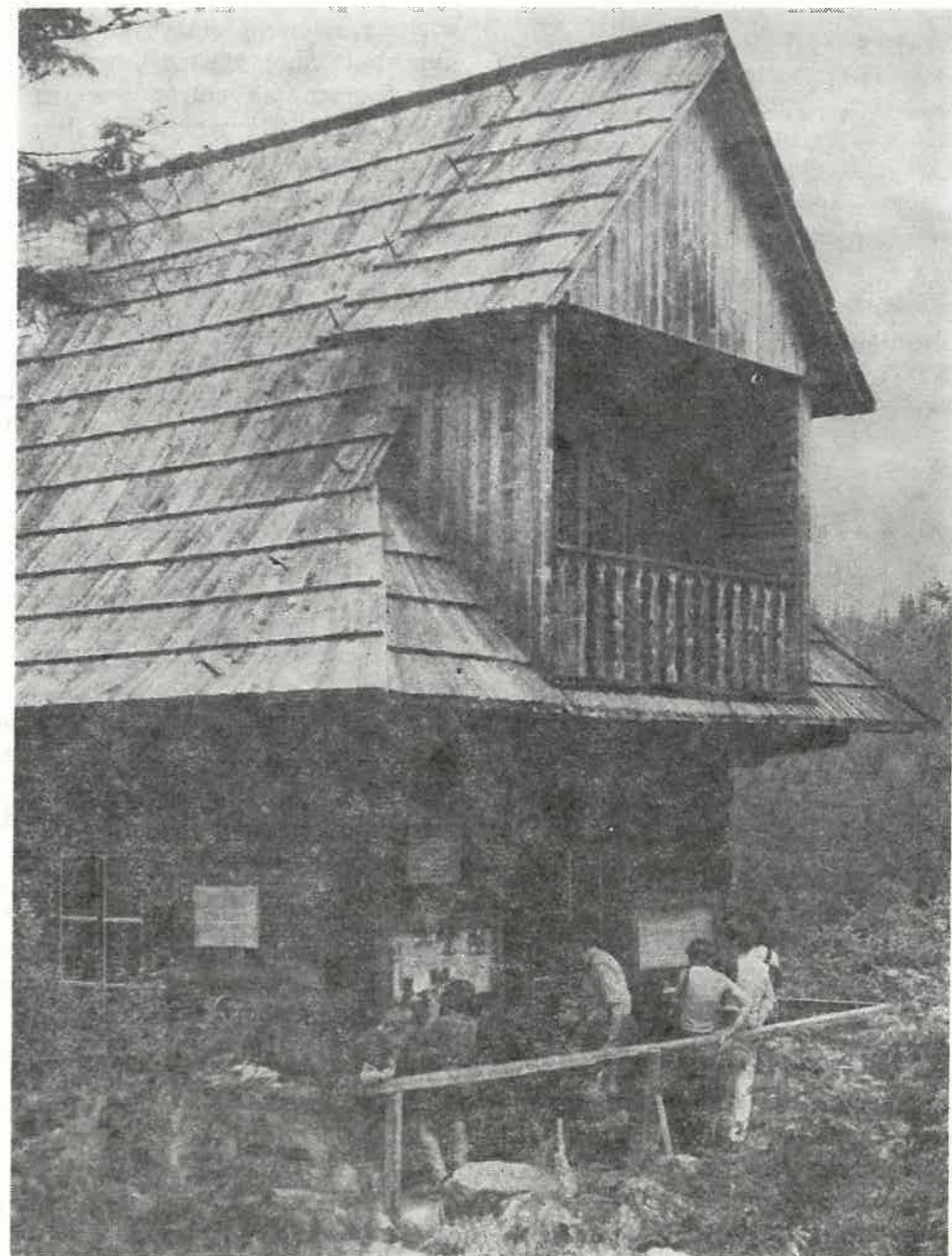
Dzięki staraniom rodziny zostaje zwolniony, która stara się pośpiesznie wyekspediować go za granicę, daleko od zasięgu władzy zaborcy, gdyż pobyt w kraju groził represjami lub zasłaniem na Sybir. Podzielił los powstańców — tułaczy. Wyjeżdża do Paryża, gdzie studiuje malarstwo. Wraca do Warszawy i uczęszcza do Klasy Rysunków, zdając egzamin dojrzałości. Rodzina wysyła go jeszcze na uniwersyteckie studia inżynierskie do Gandawy w Belgii. Wraca do kraju, a następnie wyjeżdża do Monachium, by studiować w Akademii Sztuk Pięknych, a to dzięki stypendium hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego z Poturzyca. Znalazł się w gronie malarzy Polaków: Józefa Brandta i Maksymiliana Gierymskiego.

Po powrocie do Warszawy nie ma gdzie mieszkać, więc przygarniają go trzej przyjaciele — malarze, rezydujący na najwyższym piętrze Hotelu Europejskiego. Razem malowali i wspólnie „klepali” biedę: Józef Chełmoński, Stanisław Witkiewicz i Antoni Piotrowski. Wspólnie uczęszczali na przyjęcia wtorkowe w salonach Heleny Modrzejewskiej, w których dominowała arystokracja. We Lwowie zaprzyjaźnia się z Leonem Wyczółkowskim. Pracują również we wspólnym atelier.

Podczas pobytu u brata Stanisława w Kudryńcach na Podolu zapoznaje się z postacią św. Franciszka z Asyżu, stając się jego gorącym propagatorem. 25 VIII 1887 r. odbyły się obłóczyny w kaplicy Loretańskiej u oo. Kapucynów w Krakowie i nadanie imienia „Brat Albert”.

Dziennik krakowski „Nowa Reforma” 24 X 1888 r. zamieścił pierwszą notatkę o przytulisku, a 1 XI tego samego roku zawarł umowę Brat Albert z gminą miasta Krakowa i nabył prawo i obowiązek opieki nad Ogrzewalnią Miejską. Pod koniec roku ukazały się ogłoszenia o kweście ulicznej i zapotrzebowaniach Przytuliska.

Stanisław Witkiewicz w liście do matki pisał o Bracie w szarym habitie „Jego zakon i jego robota stają się coraz popularniejszymi i przynoszą nadzwyczajny pożytek”. Działalność rozpoczęta z kilkoma zakonnikami wśród ludności, często z marginesu społecznego, polegała nie tylko na organizowaniu dla nich przytułków, jadłodajni oraz warsztatów rzemieślniczych, ale niosła wielkie wartości wychowawcze. Albertyńskie placówki walki z nędzą powoływano także poza Krakowem, we Lwowie, Sokalu, Tarnowie, Stanisławowie, Przemyślu, Kielcach, Tarnopolu, Jarosławiu i innych miejscowościach. Albertyńi prowadzili



PUSTELNIA BRATA ALBERTA NA KALATÓWKACH

fot. J. T. Siciński

także ośrodki dla bezdomnych dzieci i młodzieży, zakłady dla kalek, starców i nieuleczalnie chorych, otaczali opieką chorych w szpitalach zakaźnych.

Adam Chmielowski zaprzyjaźniony z H. Modrzejewską, S. Witkiewiczem, H. Sienkiewiczem oraz hr. W. Zamoyskim w latach 80-tych poznał Zakopane. Pomysł wybudowania pustelni z kaplicą powstał podczas rozmów ze S. Witkiewiczem. Hr. W. Zamoyski ofiarował teren ze swoich tatrzańskich posiadłości, a wyboru miejsca pod budowę klasztoru dokonał sam Brat Albert. Projekt przedstawił S. Witkiewicz i w roku 1898 sześciu zakonników wraz z Chmielowskim ukończyło budowę drewnia-

nego klasztoru oraz kaplicy. Zabudowania reprezentują styl zakopiański, ale wyróżniają się prostotą i brakiem ozdób, co jest wpływem samego Brata Alberta. W 1901 r. na terenie ogrodu klasztornej Albertyńi wybudowali niewielki domek — Chatkę Pustelnika. Podczas pobytów na Kalatówkach mieszkał w niej założyciel zakonu. Zafascynowani jego osobowością, odwiedzali go w skromnej celi ludzie, reprezentujący różne poglądy i koncepcje: S. Witkiewicz, S. Przybyszewski, S. Żeromski, J. Conrad Korzeniowski i inni.

Trochę wyżej, na Śpiącej Górze, wybudowano drugi klasztor, do którego przenieśli się bracia, a niżej usytuowany zajęły siostry.



WIATRAK W HUCIE CZERNICKIEJ  
KOŁO CZERNIC

fot. J. T. Siciński

Po zakończeniu prac budowlanych, przebywający zakonnicy wraz z Bratem Albertem pracowali fizycznie przy budowie drogi z Zakopanego do Morskiego Oka, szlaku turystycznego do Czarnego Stawu Gąsienicowego, hotelu „Stamary” oraz w piarni w Kuźnicach.

Na Kalatówkach organizowane są kolonie dla dziewcząt i chłopców.

Dla najbiedniejszych i najbardziej upośledzonych, dla świata nędzy, Brat Albert i zakonnicy, niosą bezinteresowną pomoc, miłość i słowa otuchy. Nie zawsze wzgardzeni i opuszczeni przez wszystkich, odwzajemniają się im dobrem. Brat Albert wierny pozostaje swoim

słowom: „Im więcej kto opuszczony, z tym większą miłością służyć mu trzeba...” Wiernym był innej własnej myśli: „Powinno się być dobrym jak chleb, powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się jeśli jest głodny”. Służył bezgranicznie tym, którzy tej pomocy potrzebowali i rozdawał chleb, tym, co go pragnęli. Jego działalność przyniosła mu wielki rozgłos i sławę — za życia stał się legendą.

Doceniając zasługi Brata Alberta, 28 VII 1914 r., Rada Instytucji „Cześć i Chleb” w Paryżu, uchwaliła przyznanie za zasługi w służbie społeczeństwa pensję dożywotnią w kwocie 250 fr. rocznie.

Po krótkiej chorobie, na raka żołądka, umiera w Krakowie 25 XII 1916 r., w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, o godzinie 12, gdy dzwony biły Anioł Pański, powstaniec, malarz, ojciec ubogich i nędzarzy, wierny sługa Boży.

W kondukcje pogrzebowym na cmentarz Rakowicki szli biskupi i arcybiskup, księża i zakonnicy w tym z rodzin albertyńskich, profesorowie uniwersytetu, prezydent miasta Krakowa dr Juliusz Leo z radnymi, ubodzy z przytulisk i sieroty z zakładu, liczne rzesze publiczności złożone z katolików i Żydów, członkowie lewicy i prawicy, a przy kościele św. Wojciecha salutowała grupa legionistów.

11 listopada 1938 r. prezydent R.P. Ignacy Mościcki nadał pośmiertnie Wielką Wstęgę Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności niepodległościowej i na polu pracy społecznej”.

Papież Jan Paweł II, dnia 22 VI 1983 r., na krakowskich Błoniach dokonał beatyfikacji Brata Alberta, a w Rzymie 12 XI 1989 r. kanonizacji. Świętym został najpiękniejszy człowiek naszego wieku.

JAN T. SICIŃSKI

Fundacja im. Brata Alberta  
Filia Łódź, 90-261 Łódź, ul. Jaracza 11, p. 306  
PBG I O/Łódź 344609-3492-132-3

## Łódzkie cmentarze wielkiej bitwy (XI—XII 1914 r.)



CMENTARZ Z I WOJNY ŚWIATOWEJ W RUDZIE PABIANICKIEJ

fot. B. Bazyliński

Na wiele lat przed wojną, którą potem nazwaną pierwszą wojną światową niektórzy teoretycy myśli wojskowej przewidzieli, że w przyszłym konflikcie niemiecko-rosyjskim armia carska będzie musiała w pierwszej fazie wojny opuścić Królestwo Polskie a przynajmniej jego część położoną na zachód od Wisły. Wynikało to z analizy mobilizacji rezerw ludzkich i przemysłu wojennego, która w Rosji była znacznie wolniejsza niż w Niemczech, z faktu że sieć drogowa, kolejowa i łączności była na ziemiach „priwisłansko-kraja” znacznie rzadsza niż w Niemczech. Przewidywania te potwierdziły się tylko częściowo. Po wybuchu wojny Rosja dysponowała w zachodniej części Królestwa jedynie słabymi oddziałami osłony, dozoru i dywersji. Tylko ogólne założenia niemieckiego planu wojny, który dążył do błyskawicznego rozbicia i wyeliminowania z walki Francji (plan „plan Schlieffena”) zdecydowały, że Niemcy nie za-

jęły od razu całej zachodniej części Królestwa. Jednak skutkiem słabości Rosjan Niemcy po raz pierwszy na krótko opanowali m.in. Łódź w dniach 20—21 VIII 1914 r. Miasto Niemcy oddali Rosjanom 26 sierpnia w związku z przygotowywaną przez armię carską ofensywą. Po przegranej przez Rosję bitwie w Prusach Wschodnich pod Tannenbergiem Niemcy ponownie zajęli Łódź na okres od 8 do 27 października 1914 r. Od połowy listopada 1914 r. wzmożyły się niemieckie działania wojenne w rejonie miasta, które przekształciły się w „operację łódzką”.

Rosjanie pod naciskiem francuskim mieli zamiar przejść do ofensywy z zamiarem opanowania Śląska i Poznania. W tym celu podciągnęli swe wojska na linię Kutna, Łodzi i Radomska, po jej zajęciu wstrzymali marsz na wschód z powodu braków w zaopatrzeniu i zniszczenia linii kolejowych.

Niemcy planowali dotarcie do linii Sanu i Wisły oraz zdobycie Warszawy aby przekreślić sukcesy ofensywy rosyjskiej w Galicji, tj. utratę Lwowa i Przemyśla przez Austrię. Niemcy rozpoznali gromadzenie na zachód od Wisły większych sił rosyjskich i zahamowanie ich pochodu na zachód. Umożliwiło to Ludendorffowi opracowanie planu skrzydłowego uderzenia z rejonu Kutna na Łódź.

Tak doszło do wielkiej bitwy rosyjsko-niemieckiej rozegranej w okresie od 11 listopada do 25 listopada 1914 r. w której działania obu stron skoncentrowały się wokół Łodzi, zwanej przez historyków bitwą pod Łodzią.

Bitwa ta była przedmiotem analiz strategicznych wielu teoretyków wojskowości w okresie dwudziestolecia międzywojennego, przedmiotem studiów i analiz w uczelniach wojskowych. Wynikało to m.in. z znacznej jak na warunki pierwszej wojny światowej manewrowości działań obu stron walczących. Analizy te ukazały błędy w sztuce wojennej po stronie rosyjskiej i niemieckiej. Podkreślono słabe zaopatrzenie armii carskiej i nieudolność jej dowódców, które mimo bohaterstwa żołnierzy doprowadziły do olbrzymich strat oraz zwykle awanturnictwo niemieckich działań, które winny skończyć się klęską i okrażeniem Niemców. Bitwa nie doprowadziła do zniszczenia armii rosyjskiej. Nastąpiło znaczne wykrwawienie obu stron, szczególnie silne po stronie rosyjskiej, obie wrogie armie stały się niezdolne do dalszych działań. Rosjanie odeszli na linię rzek Rawki i Pilicy w zasadzie nie pokonani w polu, odejście spod Łodzi spowodowane było dążeniem do skrócenia linii zaopatrzenia armii i niemożnością otrzymania uzupełnień w najbliższych miesiącach.

Taka była przyczyna ostatecznego zajęcia Łodzi przez Niemców w dniu 6 grudnia 1914 r. „Bitwa pod Łodzią” była największą operacją militarną pierwszej wojny światowej na froncie wschodnim w 1914 r.

Legendę o „operacji łódzkiej” upowszechniano w Niemczech w okresie nadchodzącej klęski, w 1918 r. Jej twórcami byli ci wojskowi, którzy w prasie publikowali artykuły o „bitwie łódzkiej”, „przebiegu pod Brzezunami” gen Litzmanna itp. Celem propagandowym było odwracanie uwagi od nieuchronnej klęski na zachodzie; w okresie gdy wieloletnia wojna pozycyjna doprowadziła Niemcy na próg katastrofy, wydawało się, że tylko śmiały manewr na wzór operacji łódzkiej może zmienić sytuację. Manewr taki był oczywiście w warunkach 1918 roku niemożliwy, utrwalono natomiast w świadomości niemieckiej mit o ge-

nerale Litzmannie, „lwie spod Brzezin”, Legendę tą przechwyciła propaganda hitlerowska. Litzmann związał się w latach trzydziestych z Hitlerem i jego ruchem, który w tym czasie wobec dystansowania się od hitleryzmu przez tradycyjne elementy elity Niemiec potrzebował poparcia żołnierzy wstawionych w wojnie 1914—1918 r. Mit o Litzmannie potrzebny był hitleryzmowi, który ekspansję na wschód uzasadniał nie tylko argumentami osławionej geopolityki ale i opinią, że każde miejsce gdzie ongiś przelano niemiecką krew jest naturalnym obszarem ekspansji Niemców.

Bitwa pod Łodzią prowadziła dla miasta i ziemi łódzkiej do określonych konsekwencji. W wyniku wielodniowych walk prowadzonych na znacznych przestrzeniach zniszczono linie i urządzenia kolejowe na obszarze od Skierzniewic i Piotrkowa po Łódź i Kalisz. Zniszczenia Łodzi w toku tej bitwy były stosunkowo nieznaczne: według danych Centralnego Komitetu Milicji Obywatelskiej zginęło 135 mieszkańców, było 99 rannych, uszkodzono 291 budynków. Bombardowania artyleryjskie objęły dzielnice peryferyjne: Bałuty, Dąbrowę, Radogosz, Rudę Pabianicką i Zarzew. Większe zniszczenia były w podłódzkich miastach: w Aleksandrowie, Brzezinach, Konstancynie i Tuszynie. Zniszczono zupełnie wiele wsi pod Łodzią (np. okolice Łagiewnik, Nowosolną, Rogi, Wiączyń) i Łęczycą (Błonie, Grabów, Topola).

Mimo szczególnie ciężkich warunków egzystencji w latach okupacji niemieckiej w mieście poczęło się organizować życie społeczeństwa polskiego w Łodzi. Delegacja Szkolna wszczęła pracę nad koncepcją polskiej oświaty, wzrosła sieć szkół elementarnych, od 1915 r. uruchomiono kursy nauczycielskie a od jesieni 1916 r. otwarto seminarium nauczycielskie im. E. Estkowskiego. W dniu 11.X.1917 r. otwarto bibliotekę miejską. Efekty tych działań miały być w pełni wykorzystane dopiero w niepodległej Polsce.

Szczególnym śladem krwawej bitwy stały się duże, nieznanne w przeszłości w takich rozmiarach cmentarzyska poległych żołnierzy obu walczących stron. Są to wielkie masowe cmentarze wojenne „w polu”, z których dwa największe leżą w bezpośrednim sąsiedztwie Łodzi (cmentarz na polach k. Gałkówka). Kwatery grobów wojennych znajdowały się również na cmentarzach miejskich, przede wszystkim ewangelickich i prawosławnych na dość szerokim obszarze — od Jeżowa w Skierniewickim poprzez cmentarz na Dołach, cmentarz ewangelicki przy ul. Srebrzyńskiej w Łodzi po Wieluń. Poległych po bitwie grzebała

miejskowa ludność, zbiorowe pogrzeby odbywały się w asystencji duchowieństwa ewangelickiego i prawosławnego. Cmentarze uporządkowano z niemiecką pedanterią w latach 1915—1916, na cmentarzu pod Rzgowem był 7.XI 1916 roku gubernator H. Beseler<sup>1</sup>.

W latach 1939—1945 w okresie okupacji hitlerowskiej Łodzi wydarzenia i postaci związane z bitwą pod Łodzią zostały wykorzystane przez propagandę hitlerowską jako argument uzasadniający „prawa” państwa hitlerowskiego do posiadania Łodzi i okręgu łódzkiego.

Sygnalem wywoławczym do nawiązania do tradycji bitwy łódzkiej stało się ogłoszenie przez A. Greisera w dniu 9.XI.1939 r. inkorporacji Łodzi i okręgu do III Rzeszy. W dniu tym przeprowadzono jednocześnie uroczyste manifestacje mniejszości niemieckiej na cmentarzach żołnierskich z okresu I wojny światowej w Rzgowie, koło Gałkówka, Aleksandrowie, Brzezinach, Zgierzu. Imprezy te miały w zasadzie jednolity przebieg i charakter. Na cmentarze w pochodach („fackelzug”) udały się grupy niemieckiej młodzieży szkolnej z nauczycielami na czele, lokalne organizacje Deutschvolksverband, członkowie NSDAP, reprezentacje łódzkich pułków SS, Wehrmachtu, pastory parafii ewangelickich, lokalne władze administracyjne okupanta. Manifestowano jedność miejscowej niemieczyny i jej zespolenie z III Rzeszą. Najbardziej masowy charakter przybrał obchód w Łodzi<sup>2</sup>. Równie uroczyste charakter miały obchody niemieckiego dnia zmarłych w dniu 25.XI.1939 r. w Łodzi połączone z przemarszem na cmentarz na Dołach, gdzie były groby 248 żołnierzy z wojny 1914—1918 r. oraz na cmentarz pod Rzgowem<sup>3</sup>.

Propagandowy charakter tych obchodów uwidaczniał się w ignorowaniu faktu, że na tych samych często cmentarzach pochowani byli Rosjanie i w stosowanej terminologii („Helgedanker”, „deutschen Heldenfriedhof”, „Befreiungstag unser stad”, itp.).

Hitlerowskie władze administracyjne prowadziły w latach okupacji rejestrację i akcję opieki nad grobami wojennymi z I wojny światowej. Zainicjował ją Wehrmacht już we wrześniu i październiku 1939 r. przy okazji rejestracji grobów wojennych z bitew wrześniowych. Jednocześnie z pracami ekshumacyjnymi landraci (kreishauptmani) wydawali polecenia oczyszczania i porządkowania grobów z pierwszej wojny światowej. Prace te przeprowadzała administracja lokalna, nie przeszkadzało jej, że bezpośrednimi wykonawcami byli robotnicy polscy a niekiedy skierowani do tej pracy Żydzi<sup>4</sup>. Dla urzędów gubernatorów dy-

stryktów i Namiestnika Kraju Warty był to jeden z problemów „politycznych”, to też stan zachowania cmentarzy był dobry. Sporadycznie chowano tam również żołnierzy Wehrmachtu poległych we wrześniu 1939 r. Tak powstał np. nowy „Heldenfriedhof” w Wiedniu. Wznoszono również nowe zbiorowe pomniki (Jeżów)<sup>5</sup>.

Propaganda, zwłaszcza prasowa w „Litzmannstädter Zeitung” związana z kolejnymi rocznicami bitwy łódzkiej skupiała się na ogół koło trzech dat: 9.XI, 25.XI i 6.XII, tj. kolejnej rocznicy wcielenia Łodzi do III Rzeszy, niemieckiego dnia zmarłych i tzw. „pierwszego włączenia Łodzi do Niemiec”. Obok przypomnienia epizodów z walk w 1914 r. propagowano postacie dowodów z tamtej wojny: Ludendorffa, Hindenburga, Mackensena i Litzmanna. Jak wiadomo, z postaciami tymi związane oficjalną hitlerowską nomenklaturę miast i ulic, co miało zatrzeć zewnętrzne oznaki polskości miasta. Były to więc nazwy dwu miast: Litzmannstadt, nazwa nadana Łodzi z rozkazu A. Hitlera przez A. Greisera 11.IV.1940 r., propagowana sloganem: „Aus befehl der Führers heisst diese Stadt Litzmannstadt” oraz nazwa Brzeziny — Löwenstadt (od propagandowego przydomku Litzmanna — lwa spod Brzezin) nadana 28.IV.1940 r. Nazewnictwo ulic Łodzi polegało w tej tematyce na przemianowaniu pl. Dąbrowskiego na Hindenburgplatz, ul. 11 Listopada — Szosy-Konstantynowskiej (General = LitzmannstraBe), Żeromskiego (LudendorffstraBe), Jerzego i Lipowej (MackensenstraBe, SchleffenstraBe). W 1940 r. nazwano Grand Hotel „Fremdenhof General Litzmann” oraz niemieckie gimnazjum w Łodzi imieniem generała Briesena. Ten sam schemat powtórzono w Brzezinach. Była tu General = LitzmannstraBe, general = Litzmann = Platz, ulicę prowadzącą do Gałkówka w 1914 r. przemianowano z RathaussBe na StaBe = S = Garde = Regiment = zu = FuB, był też hotel Zum Löwe”. W listopadzie 1942 r. w Brzezinach niemiecka szkoła z internatem otrzymała nazwę Otto = Lancelle Heim Hauptschule od nazwiska dowódcy artylerii w grupie Litzmanna w 1914 r.<sup>6</sup>

Można przyjąć, że propaganda wokół mogił żołnierzy armii carsko-niemieckiej z 1914 r. obok podkreślania niemieckiego rodowodu niektórych łódzkich fabrykantów była jednym z dwu komplementarnych elementów świadomości rozbudowanej lokalnej mitologii łódzkiej Niemców. W publikacji F. Böhma, która w zamierzeniu miała być zarysem historii miasta widzianej przez pryzmat historiografii hitlerowskiej 16.7% tekstu poświęcono charakterysty-

ce” niemieckich źródeł łódzkiego przemysłu” a 11.4% „bitwie pod Łodzią” i generałowi Litzmannowi<sup>7</sup>. Nie trzeba tłumaczyć jak takie ujęcie paczyło obraz historii lokalnej. Nowym symbolicznym pomnikiem w „niemieckim mieście Litzmannstadt” miał stać się pomnik Litzmanna, którego wzniesienie projektowano na miejscu zburzonego pomnika T. Kościuszki na placu Wolności.

Znajomość hitlerowskiej propagandowej literatury i nomenklatury związanej z bitwą łódzką ogranicza się dziś w zasadzie do kręgu zawodowych historyków i regionalistów<sup>8</sup>. Jedy- nym materialnym śladem wielkiej wojny 1914—1918 r. są duże cmentarze wojenne w okolicach Łodzi. Stan ich zachowania jest różny. Wiele kwater grobów wojennych na cmentarzach lokalnych zanikło lub zanika współ- cześnie. Działa tu szereg czynników: koszty konserwacji, ciasnota cmentarzy i fakt, że śla- dy tamtych bitew są uczuciowo obce współ- czesnemu społeczeństwu.

W wielu wypadkach w potocznej ocenie historycznej obserwuje się ślad hitlerowskiej propagandy — dla przeciętnego mieszkańca tych okolic są to cmentarze ni to niemieckie ni to hitlerowskie. Warto pamiętać, że są to groby Rosjan i Niemców, ofiar pierwszej wielkiej bitwy lat 1914—1918 na ziemiach



CMENTARZ Z I WOJNY ŚWIATOWEJ W RUDZIE PABIANICKIEJ

fot. B. Bazyliński

Polski środkowej, która — przez sam fakt likwidacji wieloletniego zaboru carskiego — zapoczątkowała złożoną polską drogą do niepodległości.

CEZARY JABŁOŃSKI

PRZYPISY

- <sup>1</sup> „Lodzer Zeitung” 25.XI.1939, s. 3.
- <sup>2</sup> „Deutsche Lodzer Zeitung” 10.XI.1939, s. 2; s. 3; 11.XI.1939, s. 3; 14.XI.1939, s. 2.
- <sup>3</sup> „Lodsker Zeitung” 23.XI.1939, s. 3; 25.XI.1939, s. 3; 27.XI.1939, s. 3; „Litzmannstadter Zeitung”, 9.XI.1940, s. 5.
- <sup>4</sup> „Litzmannstadter Zeitung”, 6.XI.1940, s. 6; Archiwum Państwowe w Tomaszowie, a. gm. Ujazd, t. 199; t. 223.
- <sup>5</sup> Archiwum Państwowe w Poznaniu, Reichsstatthalter Waethgau, Heldenfriedhof Maltzew; „Litzmannstadter Zeitung”, 22.V.1942, s. 4.
- <sup>6</sup> „Litzmannstadter Zeitung”, 24.XI.1942, s. 4.
- <sup>7</sup> F. Böhm, Litzmannstadt. Geschichte und Entwicklung einer deutschen Industriestadt, Posen 1941, s. 148, mapa.
- <sup>8</sup> Eine Bilderreihe aus der Zeit des Weltkrieges herausgegeben von Kaiserlich Deutschen Generalgouvernement Warschau mit 315 Bildern, Oldenburg 1918; Elsberger E. Der Durchbruch bei Brzeziny, Berlin 1939; T. Jakobs, Der Löwe von Brzeziny, Hamburg 1938; H. Kube, General Litzmann, Berlin — Leipzig, b. r. w.; Wulffen, mjr., Die Schlacht bei Lodz, Oldenburg 1918. Popularny opis bitwy w j. polskim: W. Bortnowski, Ziemia łódzka w ogniu 1.VIII.—6.XII.1914 r., Łódź 1969, s. 202, mapy.

## Ksiądz Walenty Ślusarczyk



KS. WALENTY ŚLUSARCZYK  
WŚRÓD SWOICH ZBIORÓW

ze zbiorów autora

Znany był powszechnie z Nowej Słupi a więc z Gór Świętokrzyskich, był jednak związany również z woj. radomskim, gdyż urodził się na zachodnich krańcach tego województwa we wsi Brzyski koło Klwowa, w Klwowie został pochowany, ponadto wiele lat spędził w Borkowicach i Łęgonicach. Ta jego radomska część życia jest praktycznie nieznana.

Był jednym z najbardziej znanych kolek-

cjonerów Kielecczyny. W czasach gdy był proboszczem w Nowej Słupi zmienił dość dużą plebanię na społeczne, prywatne muzeum często odwiedzane przez wycieczki. Zbierał głównie eksponaty związane z ostatnią wojną, z powstaniem styczniowym i powstaniem śląskimi ale jak każdy kolekcjoner nie gardził niczym ciekawym co wpadało mu w ręce. Były to nie- raz rzeczy bardzo cenne, były osobiste pamiąt-

ki, były też eksponaty dość przypadkowe, czasem nawet zaskakujące.

W zbiorach była broń, mundury, medale wojskowe, były obwieszczenia władz hitlerowskich, były kajdany zesłańców syberyjskich, były srebrniki z okresu I powstania żydowskiego i gwoździe rzymskie datowane na 83 rok naszej ery. To datowanie jest pewne — wykazała to ekspertyza przeprowadzona w 1971 r. przez pracowników naukowych krakowskiej AGH. Miał dość swoisty sposób oprowadzania wycieczek — pokazując te gwoździe mówił: „Takimi gwoździami został przybity Chrystus do krzyża. Nie tymi ale takimi.” Syberyjskie kajdany zakładał na ręce chłopom — uczestnikom wycieczek aby wiedzieli jaki ciężar musieli dźwigać ich przodkowie idąc pieszo na Sybir.

Miał sztandary wojskowe — mam zdjęcie jednego z nich z napisem „Kedyw. Ziemia Kielecka 1943”. Sześć z nich, przekazał jeszcze za życia do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Były to kopie sztandarów 1, 2, 3, 4, 5 i 6 pułków piechoty Legionów wykonane przed 2.X.1938 r. w celu wyeksponowania ich na zamku kieleckim. Ksiądz Ślusarczyk wszedł w ich posiadanie w 1940 r. i przechował do końca okupacji w skrytce w kościele w Borkowicach.

Na wszystkich uczestnikach wycieczek zwiedzających jego prywatne muzeum robił duże wrażenie swoją potężną posturą, silnym, sugestywnym głosem i obowiązkowym apelem kończącym opowieść o eksponatach: „Polska jest jedna i wszyscy muszą dla niej pracować niezależnie od wiary i przekonań politycznych”. Cytuję to zdanie z pamięci, mogłem słowa zmienić ale intencję oddaję wiernie.

Walenty Ślusarczyk urodził się 12 lutego 1904 r. we wsi Brzyski koło Klwowa. Wybrał początkowo karierę wojskową i do końca życia był dumny ze swojego stopnia podpułkownika rezerwy. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie wstąpił do Szkoły Oficerskiej w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Jest to to samo Komorowo, w którym później Igor Newerly umieścił część akcji „Chłopca z Salskich Stepów”. Później jako oficer zawodowy służył Ślusarczyk od 1928 r. w 71 pułku piechoty w Zanbrowie. W 1929 r. wycofał się ze służby w stopniu porucznika i rozpoczął studia w Wyższym Seminarium Duchownym w Sandomierzu, gdzie zdobył tytuł magistra teologii. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1933 r. i jak można przypuszczać rozpoczął pracę duszpasterską, nie zdołałem jednak doszukać się gdzie przebywał, gdyż w Borkowicach koło Przysuchy został wikariuszem dopiero w

1935 r. Tam też zastał go wybuch wojny.

Jak sam stwierdził w jednym z wywiadów prasowych właśnie w Borkowicach rozpoczął zbieranie eksponatów, które miał kontynuować przez ponad 40 lat. Być może był to przypadek ale można domyślać się tu tradycji - wytworzonej przez jego wielkiego poprzednika, księdza Jana Wiśniewskiego, wybitnego regionisty i historyka Kielecczyzny. Był on proboszczem w Borkowicach a znany był powszechnie miejscowej ludności jako kolekcjoner. W 1913 r. ksiądz Wiśniewski przekazał dużą część swoich zbiorów Oddziałowi PKT w Radomiu. W 22 lata później mógł jeszcze w Borkowicach trwać zwyczaj przynoszenia wszystkiego co ciekawe na plebanię.

Wiele szczegółów działalności konspiracyjnej ks. Walentego Ślusarczyka jest dla mnie niejasnych. Był niewątpliwie członkiem ZWZ a później AK. Podobno współpracował z „Hubalem” — byłoby to logiczne, gdyż Borkowice leżą na terenach objętych działalnością „Hubala” w odległości około 10 km od wsi Hucisko gdzie „Hubal” kwaterował i gdzie 30 marca 1940 r. stoczył bitwę z hitlerowcami. W żadnym z licznych opracowań na temat „Hubala” nie spotkałem jednak żadnej wzmianki o księdzu Ślusarczyku.

W 1943 r. został on przeniesiony na parafię do Łągonic Małych (czyli tych na prawym brzegu Pilicy). Tu m.in. wieczorem 23 sierpnia 1944 r. pochował na miejscowym cmentarzu Antoniego Kucharskiego ps. „Rogers” — dowódcę niewielkiego oddziału partyzanckiego AK, który zginął kilka dni wcześniej. Był to jeden z tych oddziałów partyzanckich, które działały, walczyły, odnosiły mniejsze czy większe sukcesy i porażki a później jakoś zniknęły z pamięci ludzkiej.

W Łągonicach ksiądz Ślusarczyk mieszkał około 10 lat. Można przypuszczać, że dalej powiększał swoje zbiory. W 1960 r. objął parafię w Nowej Słupi rozpoczynając świętokrzyski, bardziej znany rozdział swojego życia.

W 1978 r. ze względu na wiek oraz zły stan zdrowia przeszedł na emeryturę przenosząc się do klasztoru cystersów w Wąchocku. Tam też do dziś znajdują się jego zbiory — niestety nie są udostępniane zwiedzającym, gdyż nie zostały jeszcze załatwione sprawy spadkowe. W Wąchocku ksiądz Walenty Ślusarczyk zmarł w 1981 r. w wieku 77 lat. Był 2 lata oficerem zawodowym a później 48 lat kapłanem, niemniej te 2 lata (i wcześniejsze studia w szkole oficerskiej) zaważyły na jego zainteresowaniach, którym był wierny aż do śmierci.

Był odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia

Polski. W grudniu 1971 r. otrzymał nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka. Był znany, często były z nim wywiady w prasie, był również wywiad w TV. Już po jego śmierci ukazały się nekrologi i wspomnienia. M.in. napisał je przewodnik ze Skarżyska-Kamiennej, Bolesław Bętkowski. W skróconej wersji ukazały się one w numerze 8 „Gościńca” z 1985 r. jako jedna z prac nagrodzonych w konkursie literackim ogłoszonym na 110-lecie przewodnictwa turystycznego w Polsce.

Ks. Ślusarczyk zostawił po sobie m.in. pomnik powstańców styczniowych, który ufundował w 1973 r. (w rocznicę powstania) w Nowej Słupi na cmentarzu przykościelnym. Pomnik ma postać kamiennego ostrosłupa zwieńczonego żeliwnym krzyżem. Upamiętnia bitwę stoczoną przez korpus Mariana Langiewicza 12 lutego 1863 r. z wojskami carskimi. Na tablicy umieszczono nazwiska poległych powstańców jak również nazwisko fundatora.

Ksiądz Ślusarczyk był również fundatorem tablicy upamiętniającej ofiary terroru hitlerowskiego z Nowej Słupi i okolic. Tablica ta znajduje się na zewnętrznej ścianie kościoła. Umieszczono na niej m.in. nazwiska ofiar pierwszej na Kielecczyźnie publicznej egzekucji, która odbyła się 12 lipca 1942 r. Na słupach telefonicznych hitlerowcy powiesili wówczas 12 osób w tym jedną kobietę.

## Tratwy

Sposobów uprawiania turystyki jest wiele, szczególnie krajowej. Z reguły tyle, ile jest czynnie działających klubów turystycznych w naszym kraju. To właśnie dzięki nim, a właściwie dzięki członkom owych klubów, możemy obcować z przyrodą polską jeżdżąc, pływając lub chodząc po szlakach turystycznych. Dzieje się tak dlatego, że tacy społecznicy poświęcają swój prywatny czas, zdolności i umiejętności na to, aby móc poznać jak najlepiej swój kraj i aby jak najpełniej zaprezentować go innym.

Poznanie własnego kraju jest zaiste największą zaletą takiej działalności. Ale nie tyl-

Z inicjatywy ks. Ślusarczyka przeniesiono z cmentarza grzebalnego na cmentarz przykościelny kamienną rzeźbę przedstawiającą kobietę w koronie a uważaną za żonę Emeryka lub królową Jadwigę. Mimo różnych romantycznych teorii o jej starożytnym pochodzeniu rzeźba ta jest niewątpliwie przykładem sztuki barokowej a powstała w XVII w. W czasach księdza Ślusarczyka umieszczono ponadto w przedsiönku kościoła dwie tablice upamiętniające dwóch bohaterów Ruchu Oporu. Jedna z nich, z 1970 r. upamiętnia Stefana Rychtera „Tumrego” urodzonego w Nowej Słupi w 1906 r. Brał on udział w stopniu kapitana w kampanii wrześniowej, do marca 1942 r. był szefem Związku Odwetu Komendy Okręgu ZWZ w Krakowie, następnie szefem sztabu organizacji „Wachlarz”. Zginął w Mińsku Litewskim 6 lutego 1943 r. Był wówczas już w stopniu majora. Druga tablica, z 1976 r. upamiętnia Jana Piwnika ps. „Ponury” pochodzącego z niedalekich Janowic. Tej postaci nie trzeba nikomu przybliżać.

Teraz, kiedy ksiądz Ślusarczyk nie ma wśród nas, kiedy jego cenne zbiory są głęboko ukryte, tylko te pomniki i tablice przypominają turystom postać tego wielkiego patrioty i regionalisty.

PRZEMYSŁAW PILICH

ko. Wiadomo, że wiele klubów turystycznych jest studenckich. Wiadomo także jacy są żacy, szczególnie ci, którzy w turystykę się bawią. Są oni nierzadko zwariowani, by nie rzec postrzeleni. I takie też najczęściej są ich pomysły. Te dotyczące turystyki również. Dlatego wielu turystów (i nie tylko) może dzięki takim zwariowanym organizatorom korzystać z możliwości niekonwencjonalnego spędzania wakacji. Zrealizowane pomysły są tym bardziej interesujące, że dają nie tylko możliwość poznania przyrody i naszego kraju, ale także umożliwiają wzięcie udziału w czymś, co może stać się ekscytującą przygodą.

Dlatego też warto zapoznać się z „TRATWAMI”.

Niewtajemniczonemu nazwa ta niewiele mówi. Więcej na ten temat mogą zapewne powiedzieć organizatorzy i uczestnicy. A powiedzieli mi oni, że „TRATWA” to nazwa corocznej akcji letniej organizowanej przez Studencki Klub Turystyczny „Kajak” działający przy Politechnice Łódzkiej. Akcji, która od dobrych kilku lat jest największą akcją letnią studenckiego środowiska turystycznego Łodzi. Pomimo tego, że mało osób słyszało o „TRATWACH”, to w ciągu 15 lat istnienia skorzystało z niej blisko 1800 osób, głównie studentów.

SKT „Kajak” istnieje od 1971 roku i teraz ciężko byłoby dociec, kto był pomysłodawcą „TRATW”. Jedno jest jednak pewne. Czasy w jakich przyszło działać ówczesnym „Kajakowiczom” były o tyle lepsze, że dawały większe pole popisu. Umożliwiały zrealizowanie nawet najbardziej zwariowanych pomysłów, które często powstawały w gorących, studenckich głowach. Jednym z wielu pomysłów był projekt zbudowania dwóch najprawdziwszych tratw, wyposażenie je w potężne wiosła, ster, postawienie na nich namiotów i przygotowanie paleniska. Słowem zrobienie wszystkiego, co umożliwiłoby prowadzenie obozów na takich jednostkach pływających.

Rzecz w pierwszej chwili wydaje się arcyciekawą, ale nie realną zarazem. Na cóż jednak zapał, energia i wiara we własne siły młodych ludzi? Zaczęli oni od należytego przygotowania wszystkich formalności. Pierwszym krokiem było wydzierżawienie obszaru nad Jeziorem Paniewo od Okręgowej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku. Powstać tam miała Baza Namiotowa. Następnie od Oddziału Żeglugi Śródlądowej w Augustowie uzyskano pozwolenie na to, aby tratwy mogły pływać po Jeziorach: Białym, Neckim i Rospudzie. Teraz wystarczyło tylko pojechać na Mazury i zorganizować Bazę Namiotową oraz zbudować tratwy.

Jeżeli komuś się wydaje, że zbudowanie takiej jednostki pływającej jest błahostką, to jest w grubym błędzie. Do budowy tratwy wykorzystuje się sześć do ośmiu grubych (około 80 cm średnicy) ściętych sosen, wypożyczonych na okres wakacji od tartaku. Zbija się je za pomocą specjalnych klinów i umacnia dodatkowo poprzecznymi przybitymi żerdziami. Z owych żerdzi tworzy się szkielet, który służy do zamocowania pokładu z desek. Następnie przybija się potężne dulki pod wiosła i ster. Potem, z żerdzi tworzy się barierkę, która zabezpiecza uczestników przed wypad-

nięciem z tratwy. W następnej kolejności budowane jest palenisko oraz zbijane są namioty. Namioty są z reguły trzy. Jeden kapitański, który niepisana tradycją należy się wyłącznie kierownikowi obozu, i dwa, w których znajduje schronienie dziesięciu uczestników obozu.

Aby to wszystko mogło pomieścić się na tratwie, musi ona mieć dość duże wymiary. Na ogół długość wynosi 15 do 18 metrów a szerokość około 6 metrów.

Przedstawiona powyżej procedura budowy wydaje się być jasna i zrozumiała, jednak wiadomo jak ma się teoria do praktyki. Wobec powyższego duże słowa uznania należą się członkom obozu budującego za to, że wiedzą jak najszybciej, najlepiej i najsprawniej zbić tratwy.

Po zbudowaniu tratw pozostaje tylko jedna formalność do załatwienia: atestacja dokonywana przez odpowiednich pracowników służb wodnych. Potem zostaje tylko czekać, aż przybędą uczestnicy pierwszego obozu.

Skierowanie na obozy sprzedawane są dużo wcześniej przez „Almatur”. Różnorodność obozów, a tym samym atrakcyjność całej akcji zależy od pomocy jakiej udzielają organizatorom członkowie innych klubów. Turyści z SKT „Kajak” prowadzą obozy tratwowe, pieszo-tratwowe i żeglarsko-tratwowe. Kolarze z Akademickiego Klubu Rowerowego „Ósema” pomagają prowadząc turnusy rowerowo-tratwowe, a kajakowicze z SKT „Płazik” kajakowo-tratwowe i spływy kajakowe.

„TRATWY” jako impreza przeznaczona głównie dla studentów nie ma charakteru wczasów. Obozowicze pływają po jeziorach, chcąc nie chcąc uczą się żyć w symbiozie z przyrodą — wodę czerpią z jeziora, korzystają z ognia dostarczanego przez ognisko. Uczą się szanować środowisko naturalne, ale także uczą się życia. Bo gotować muszą sami — nikt ich w tym nie wyręczy. Posiłki przyrządzają z produktów zakupionych w Augustowie, na które pieniądze posiada kierownik obozu. Jednak nie jest tak strasznie, ponieważ już po kilku dniach wszyscy znajdują przyjemność w wspólnie spędzanych chwilach przy ognisku, podczas wieczornego śpiewania. Pomyślano też i o tych, którzy bez choćby odrobiny cywilizacji obyć się nie mogą. Dla nich to można zamówić stoliki w ekskluzywnym Night-Clubie położonym w Puszczy Augustowskiej. Po zakończeniu turnusu, kierownik prowadzi obóz do starej, rosyjskiej sauny w Yałowym Rogu. Po to, aby dostarczyć uczestnikom kolejnej frajdy i... porządnie się wymyć w ciepłej wodzie.

Gdy skończą się już wszystkie obozy wkroczą do akcji obóz rozbijający. Jak łatwo się domyślić ma on za zadanie rozebrać tratwy, oddać drewno do tartaku i zwinąć całą bazę w Paniewie. Potem pozostaje już tylko po-

wrócić z całym sprzętem do Łodzi i oczekiwanie na rozpoczęcie przygotowań do kolejnej Akcji Lato.

JACEK SIUDEK

## Informacje Redakcji

W bieżącym roku we wszystkich jednostkach PTTK odbyły się zjazdy sprawozdawczo-wyborcze, na których wybrano nowe składy osobowe członków władz.

Poniżej podajemy składy osobowe prezydium Zarządu Głównego PTTK w Warszawie, Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Łodzi i Zarządów Oddziałów z terenu Łodzi i województwa łódzkiego.

### Prezydium ZG PTTK

1. Andrzej Gordon	— Prezes
2. Adam Chyżewski	— Wiceprezes
3. Gustaw Konopacki	— Wiceprezes
4. Edward Kudelski	— Wiceprezes
5. Krzysztof Mazurski	— Wiceprezes
6. Zdzisław Łysio	— Sekretarz generalny
7. Jarosław Paluszkiewicz	— Skarbnik
8. Leonard Budniak	— Członek Prezydium
9. Krzysztof Kawa	— Członek Prezydium
10. Włodzimierz Łęcki	— Członek Prezydium
11. Maria Maranda	— Członek Prezydium
12. Stanisław Misztal	— Członek Prezydium
13. Jerzy Raczek	— Członek Prezydium
14. Wiesław Radomski	— Członek Prezydium
15. Andrzej Wojdyło	— Członek Prezydium
16. Krzysztof Wolfram	— Członek Prezydium

### Prezydium ZW PTTK w Łodzi

1. Adam Chyżewski	— Prezes
2. Waldemar Doniec	— Wiceprezes
3. Alicja Tomsa	— Wiceprezes
4. Andrzej Danowski	— Sekretarz
5. Bogumił Barburski	— Skarbnik
6. Zdzisław Hibszer	— Członek Prezydium
7. Zdzisław Kowalczyk	— Członek Prezydium
8. Zygmunt Szmidt	— Członek Prezydium
9. Henryk Werszynin	— Członek Prezydium
10. Przemysław Wiśniewski	— Członek Prezydium

#### Zarząd Oddziału Akademickiego PTTK

- |                       |                     |
|-----------------------|---------------------|
| 1. Jerzy Świerczyński | — Prezes            |
| 2. Jacek Pacholik     | — Wiceprezes        |
| 3. Tomasz Płoszaj     | — Wiceprezes        |
| 4. Wojciech Warga     | — Wiceprezes        |
| 5. Tomasz Kluska      | — Sekretarz         |
| 6. Krzysztof Dmoch    | — Skarbnik          |
| 7. Jarosław Janicki   | — Członek Prezydium |
| 8. Jacek Siudek       | — Członek Prezydium |
| 9. Rafał Hoszczyński  | — Członek Prezydium |

#### Prezydium Zarządu Oddziału Łódzkiego PTTK

- |                             |                     |
|-----------------------------|---------------------|
| 1. Ryszard Mamenas          | — Prezes            |
| 2. Edmund Witkowski         | — Wiceprezes        |
| 3. Eugeniusz Małafiej       | — Wiceprezes        |
| 4. Przemysław Wojciechowski | — Sekretarz         |
| 5. Lucyna Drewniak          | — Skarbnik          |
| 6. Adam Arndt               | — Członek Prezydium |
| 7. Janusz Babiński          | — Członek Prezydium |
| 8. Maria Lisowska           | — Członek Prezydium |
| 9. Jerzy Wojnarowski        | — Członek Prezydium |
| 10. Joanna Ziemińska        | — Członek Prezydium |

#### Prezydium Zarządu Oddziału PTTK Łódź-Polesie

- |                          |                     |
|--------------------------|---------------------|
| 1. Lesław Wojtasik       | — Prezes            |
| 2. Hubert Szmidt         | — Wiceprezes        |
| 3. Jadwiga Idowska       | — Wiceprezes        |
| 4. Dorota Rogowska       | — Wiceprezes        |
| 5. Czesław Kamocki       | — Sekretarz         |
| 6. Jadwiga Duda-Jeżewska | — Członek Prezydium |
| 7. Edward Hatała         | — Członek Prezydium |
| 8. Janusz Kunce          | — Członek Prezydium |
| 9. Andrzej Michalski     | — Członek Prezydium |

#### Prezydium Zarządu Oddziału Nauczycielskiego PTTK

- |                             |                     |
|-----------------------------|---------------------|
| 1. Danuta Szałowska         | — Prezes            |
| 2. Tekla Stańczak           | — Wiceprezes        |
| 3. Barbara Wacek            | — Wiceprezes        |
| 4. Wiesława Precz           | — Sekretarz         |
| 5. Maria Święcicka          | — Sekretarz (II)    |
| 6. Hanna Komorowska-Kukulka | — Skarbnik          |
| 7. Piotr Budner             | — Członek Prezydium |
| 8. Łucja Dutkiewicz         | — Członek Prezydium |
| 9. Kazimierz Gabrych        | — Członek Prezydium |

#### Prezydium Zarządu Oddziału PTTK w Ozorkowie

- |                           |                     |
|---------------------------|---------------------|
| 1. Mieczysław Wycichowski | — Prezes            |
| 2. Zdzisław Ruszkowski    | — Wiceprezes        |
| 3. Jerzy Chmielecki       | — Wiceprezes        |
| 4. Zenon Chrzanowski      | — Wiceprezes        |
| 5. Anna Adamczewska       | — Sekretarz         |
| 6. Piotr Banasiak         | — Skarbnik          |
| 7. Edward Karolak         | — Członek Prezydium |
| 8. Stanisław Skoneczko    | — Członek Prezydium |

#### Prezydium Zarządu Oddziału PTTK w Pabianicach

- |                            |                     |
|----------------------------|---------------------|
| 1. Wanda Kołodziejczyk     | — Prezes            |
| 2. Ryszard Gorzela         | — Wiceprezes        |
| 3. Zygmunt Szmidt          | — Wiceprezes        |
| 4. Anna Teodorczyk         | — Sekretarz         |
| 5. Marek Pisańczuk         | — Skarbnik          |
| 6. Zenobiusz Kołodziejczyk | — Członek Prezydium |
| 7. Remigiusz Raźniewski    | — Członek Prezydium |
| 8. Sławomir Maćkowski      | — Członek Prezydium |

#### Prezydium Zarządu Oddziału PTTK przy ZZPO „WÓLCZANKA”

- |                       |              |
|-----------------------|--------------|
| 1. Kazimierz Zabłocki | — Prezes     |
| 2. Stanisław Nowicki  | — Wiceprezes |
| 3. Bogumił Barbarski  | — Wiceprezes |
| 4. Maria Augustyniak  | — Sekretarz  |
| 5. Urszula Czemerska  | — Skarbnik   |

#### Prezydium Zarządu Oddziału PTTK w Zgierzu

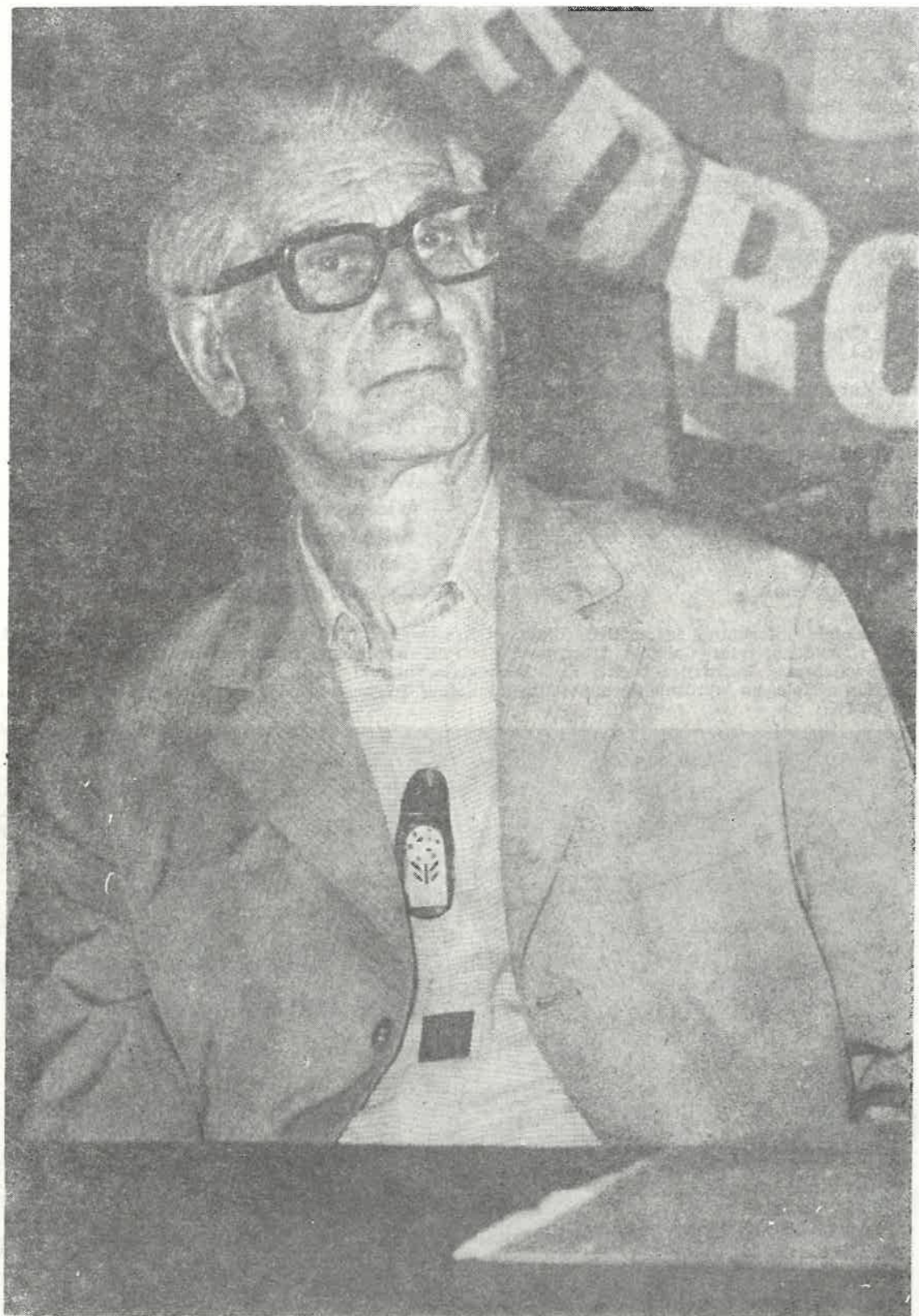
- |                        |                     |
|------------------------|---------------------|
| 1. Romana Przegalińska | — Prezes            |
| 2. Andrzej Mikołajczyk | — Wiceprezes        |
| 3. Wiesława Skopiak    | — Wiceprezes        |
| 4. Andrzej Dyaczyński  | — Wiceprezes        |
| 5. Jerzy Barylak       | — Sekretarz         |
| 6. Paweł Tomczak       | — Skarbnik          |
| 7. Tadeusz Kusztełak   | — Członek Prezydium |

Redakcja z radością informuje, że na XII Zjeździe Krajowym PTTK, który odbył się w Warszawie w dniach 26–28.X.1989 r. nadano tytuł Członka Honorowego PTTK wybitnym działaczom Towarzystwa. Znaleźli się wśród nich również nasi Koledzy z Łodzi: Kol. Lechosław Fularski i Kol. Kazimierz Hempel. Redakcja gratuluje Kolegom wyróżnienia najwyższą godnością Towarzystwa i życzy wielu jeszcze radości z dalszej więzi z PTTK.



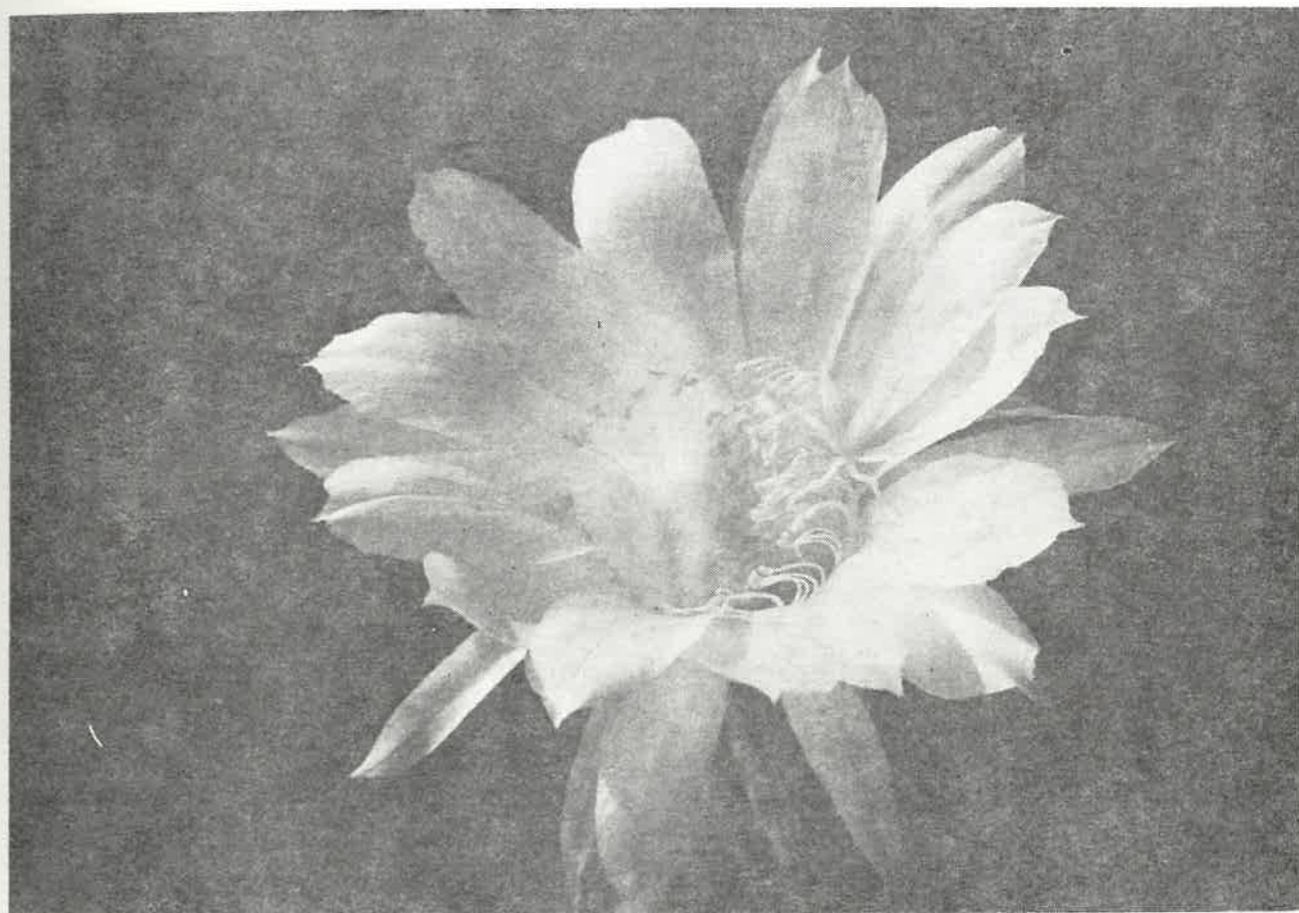
LECHOSŁAW FULARSKI

fol. B. Bazyliński



KAZIMIERZ HEMPEL

fot. B. Bazyliński



KAKTUS — KWIAT JEDNEGO DNIA

fot. B. Bazyliński

BIBLIOTEKA  
Nr. 218  
PTTK Łódź

